NUMER

175/176

1955

PORADNIK
KULTURALNO-OŚWIATOWY

wydawnictwo
Światowego Komitetu
Y.M.C.A.
sekcja Polska
w W. Brytanii

TREŚĆ

Adres Redakcji i Administracji: 46/47, Kensington Gardens Square, London, W. 1.

PRENUMERATA: Roczna — £1 sh. 1. Półroczna — sh. 12.
Cena numeru pojedyńczego sh. 2, podwójnego sh. 4 wraz z przesyłką.
We Francji: Comité d'Action YMCA en France, Sekcja Polska, 13, Avenue Raymond Poincaré, Paris 16-e.
PRENUMERATA: Roczna 700 frs., półroczna 360 frs. Cena numeru pojedyńczego 60 frs., podwójn. 120 frs.

Printed by „Gryf Printers (H. C.) Ltd.", 171, Battersea Church Road, London, S. W. 11.

PORADNIK
KULTURALNO-OŚWIATOWY

ADVISER FOR EDUCATIONAL AND SOCIAL WORKERS

Nr 175/176 Rok 15

Wydawca: Światowy Komitet Y.M.C.A., Polska Sekcja w W. Brytanii, 46/47, Kensington Gardens Square, London W. 2.

Marzec— kwiecień 1955

FELIKS BIELSKI

GRZECHY POWSZECHNE

W porze, przewidzianej na rekolekcje, nadarza się dla pracownika społecznego okazja, aby poddać rewizji własne zachowanie i spojrzeć na swoje odbicie we wklęsłym zwierciadle samokrytyki. Wielkie grzechy dostrzega się choćby dlatego, że zwraca na nie uwagę otoczenie i że zazwyczaj trzeba za nie gorzko pokutować. Uchodzą natomiast baczności różne drobiazgi, które same przez się nie wydają się bardzo dla naszej roboty szkodliwe, które jednak w ogólnym efekcie wyrządzają ogromne straty, osłabiając naszą powagę i wpływając ujemnie na wyniki.

Jesteśmy zazwyczaj pobłażliwi na różne drobne zaniedbania, związane z pełnieniem codziennych obowiązków. Ot, bibliotekarz spóźnia się o kwadrans i rozpoczyna wydawanie książek po wyznaczonym terminie. Wielkie mi rzeczy, że kilka osób poczeka sobie przed progiem! Otrzymaliśmy list — i zamiast usiąść niezwłocznie dla napisania odpowiedzi, do której mamy gotowy materiał, odkładamy tę czynność na sposobniejszą chwilę, która czasem następuje po kilku tygodniach. Cóż, — Polacy nie są przyzwyczajeni do szybkiego odpowiadania na listy, więc nie warto ich demoralizować i nie ma się co spieszyć. Nie mamy pewności, w jaki sposób należy pisać jeden z wyrazów w komunikacie o przedstawieniu teatralnym; zamiast sprawdzić pisownię w słowniku, polegamy na własnym widzimisię, które okazuje się tym razem zawodne. Wiadomo, że są ważniejsze sprawy, niż ortografia. Ktoś lekko uszkodził jeden ze sprzętów; właściwie należałoby wziąć młotek i coś tam przymocować, ale na razie nic wielkiego się nie stało. Po kilku dniach sprzęt rozleciał się zupełnie; no, przynajmniej teraz jest co naprawiać, trzeba więc sprowadzić majstra i odpowiednio za to zapłacić.

Skoro doszło do poruszenia spraw niemiłych, zapytajmy się teraz, czy zachowanie nasze pozostawało w zgodzie z teorią? Żądamy od członków Klubu czy bywalców świetlicy harmonijnego współdziałania; czy umiemy się na nie zdobyć, występując na zewnątrz wobec kolegów lub innych placówek? Cieszy nas, gdy rośnie zainteresowanie dla kultury ojczystej, gdy dokoła rozbrzmiewa język polski, i obruszamy się na przykłady odstępstwa; a czy nasze własne dziecko mówi dobrze po polsku? Oczywiście można stworzyć na poczekaniu jakieś usprawiedliwienie, ale skoro wejdziemy na tę drogę samozakłamania i obłudy, jak się na niej zatrzymać? Na działacza społecznego, na pracownika oświatowego zwracają się wszystkie oczy, toteż wykręty dadzą ten jedynie skutek, że zaczną je stosować inni, a wówczas dyskusja do celu nie doprowadzi.

Przypomnijmy sobie jeszcze zmarnowane sposobności, które minęły bezpowrotnie. Nadarzała się rocznica, odpowiednia do poruszenia opinii; w naszym środowisku przemija ona bez śladu. Mieliśmy w rękach książkę, zawierającą potrzebne nam materiały; wymknęła się nam i już jej z powrotem nie uzyskamy, a nie zrobiliśmy w porę potrzebnych odpisów i notatek. Odbywało się zebranie, nadające się znakomicie do poruszenia spraw leżących nam na sercu, ale nie zdobyliśmy się na zabranie głosu. A wypadki toczą się szybko, nowe zjawiska zaprzątają uwagę i wielu przeoczeń nie da się wskutek tego odrobić.

Ile spośród tych zaniedbań wynika z fałszywej ambicji, ile z wygodnictwa, a ile ze zwykłej apatii i rozleniwienia? Na te pytania dać może każdemu odpowiedź jego osobiste sumienie. To pewna, że praca społeczna i kulturalna w rodzimym otoczeniu nakłada co prawda niemałe ciężary, ale jest z drugiej strony uprzywilejowanym powołaniem, z którym nie można wdawać się w przetargi. Ta ogólnie obowiązująca zasada zyskuje na doniosłości w tych szczególnych warunkach, jakie towarzyszą naszemu bytowaniu z dala od własnego Kraju.

ŚWIETLICA

technika pracy — zagadnienia kulturalne i oświatowe

T. MALINOWSKI

MYŚL O WSPÓLNEJ SIEDZIBIE

Człowiek odczuwa dwa rodzaje głodu. Jeden — to głód fizyczny, rodzący się z konieczności odżywiania organizmu, drugi zaś — to głód psychiczny, powstający z potrzeby „odżywiania" ducha. Na tym drugim opierają swój byt karczmy, lokale rozrywkowe, teatry, cyrki, dancingi, sale koncertowe, czytelnie publiczne i tym podobne instytucje.

Wykonując przez cały niemal dzień jakąś pracę, człowiek potrzebuje przede wszystkim odpoczynku fizycznego i organizuje go we właściwy dla siebie sposób. Jeden więc czyta książkę, inny idzie do knajpy lub lokalu rozrywkowego, jeszcze inny gra w szachy lub na jakimś instrumencie muzycznym; ten słucha radia, tamten telewizji, a poniektóry po prostu śpi lub leży. W każdym jednak przypadku chodzi również o to, aby oderwać się od myśli o codziennej pracy zarobkowej i przenieść się w inne otoczenie. Człowiek współczesny idzie do miejsca rozrywkowego lub knajpy, bo wie, że tam zobaczy nowe twarze, spotka innych ludzi, nie tych, z którymi się styka co dzień przy pracy i w domu. Idzie do teatru lub kina, czyta książkę, bo te rzeczy przenoszą go w inny świat i inne warunki życia. Człowiek, pracujący w hałasie w zamkniętym lokalu, szuka ciszy i otwartej przestrzeni, ten zaś, który pracuje w ciszy i spokoju, chętnie wybiera się na dancing, gdzie jest pełno gwaru i ruchu. Widać jakby instynktowną potrzebę zmiany otoczenia i rodzaju czynności, i to zmiany kontrastowej, która przynosi zrównoważenie psychiczne. Tę potrzebę nazwiemy *potrzebą kontrastu.*

W codziennym życiu musimy stale pobierać decyzje, dokonywać wyboru kierunku i sposobu postępowania; stan ten wyraża powiedzenie: „bijemy się z myślami". Całkiem podświadomie człowiek zbiera opinie i informacje, które mają mu ułatwić podjęcie decyzji. Ponadto szuka kogoś, z kim mógłby podzielić się odpowiedzialnością za swoje postanowienie. Przedtem chciałby jednak wiedzieć, jak by postąpił ktoś inny w jego przypadku, jaka byłaby reakcja innych ludzi w przypadku podjęcia określonej decyzji. Zbiera więc wiadomości, opinie, sugestie i wyciąga wnioski.

Radzi się innych, by w razie negatywnego wyniku mógł się częściowo przed samym sobą usprawiedliwić; powiada wówczas: „ano, nie chciałem tak postąpić, ale ludzie mi doradzili". Przez to część odpowiedzialności za zły wynik spada na doradców. W pozytywnym zaś wypadku pojawia się duma z własnego rozumu, który podyktował trafną decyzję wbrew wszystkim radom; jeśli zaś decyzja była zgodna z radami i wynik był dobry, pochlebia nam to, że wiemy, kogo mamy się radzić, i że mamy mądrych doradców.

Zaobserwować te zjawiska można w angielskich wiejskich „pub'ach", gdzie przy kuflu piwa goście spędzają całe długie wieczory, dyskutując skutki nadmiernych opadów, omawiając sprawy rodzinne i sąsiedzkie, dowiadując się, co słychać w najbliższym mieście, co w sąsiedniej wsi? Czy p. Anderson sprzedał przydrożną parcelę z willą temu jegomościowi z Londynu? Kim jest ten nowonabywca? Czy będą mu odnawiali dom ludzie z Londynu, czy też zatrudni miejscowych budowniczych i malarzy? Bywalcy zbierają informacje, radzą się wzajemnie, bo każdy z nich wie, że będzie musiał zająć jakieś stanowisko wobec tej jednostki, nowo przybywającej do społeczności wiejskiej. Mamy więc tu do czynienia z drugą potrzebą psychiczną, *potrzebą rady i informacji.*

Wykonując codzienną, monotonną pracę, sprowadzającą się niejednokrotnie do kilku automatycznych ruchów przy maszynie, gdy chodzi o organizację odpoczynku, człowiek podświadomie szuka czynności o biegunowo różnym charakte-

rze, czegoś, co by mu umożliwiło wyładowanie jego inwencji twórczej, co by było wytworem jego wyobraźni. Jedni więc robią swemu dziecku domek dla lalek, inni próbują pisać wiersze, jeszcze inni wyżywają się w grze na instrumencie muzycznym lub w teatrze amatorskim. Są tacy, co rysują i malują, i tacy, co przyozdabiają swoje mieszkanie. Wszyscy oni tworzą, jedni na większą, inni na mniejszą skalę, bo w ten sposób zaspakajają głód psychiczny. Znam człowieka, który pracując w fabryce plastyku, przy prasie, przez 8 godzin dziennie, wykonywał jednostajne ruchy podnoszenia i opuszczania dźwigni. Wracając do domu wysypywał z torby masy odpadków plastyku, które się wylewają w barwne i fantastyczne kształty. Z tych odpadków co sobota układał ornamenty na ścianach swego pokoju. Potrzeba wyładowania inwencji twórczej była w nim tak silna, że mimo nieludzkiego zmęczenia, co sobota, a czasem i częściej, zmieniał te ornamentacje, uzupełniał nowymi odpadkami lub innymi elementami dekoracyjnymi.

Wiejski pastuch, dłubiący kozikiem fujarkę z drzewa, przejawia podobną inwencję twórczą jak dziewczyna robiąca na drutach czepek własnego wzoru, jak gospodyni, przyrządzająca własnego pomysłu potrawę, i jak rzeźbiarz, wykonywujący pomnik w kamieniu; wszyscy oni w równym stopniu wyładowują swoją energię twórczą. W każdym bowiem człowieku, jako istocie cie wyższego gatunku, istnieje *psychiczna potrzeba tworzenia.*

Organizując i prowadząc klub, dom społeczny czy choćby nawet świetlicę, musimy liczyć się z tym, że mają one umożliwić przychodzącym do nich ludziom zaspokojenie ich potrzeb psychicznych. Skoro, jak powiedzieliśmy wyżej, na ludzkich potrzebach psychicznych opierają swój byt różne lokale i instytucje rozrywkowe, musimy wyciągnąć stąd wniosek, że nasze placówki społeczne mają być lokalem, który będzie jakby syntezą teatru, szynku, dancingu, czytelni, cyrku, sali koncertowej etc. Nie tylko syntezą, ale czymś więcej, boć np. świetlica jest równocześnie instytucją kulturalno-oświatową, a więc cele jej przyświecające są indentyczne z celami, nakreślonymi dla pracy kulturalno-oświatowej na emigracji. Zadanie na pozór niewykonalne, boć świetlica, która by mieściła w sobie naraz te wszystkie instytucje i urzędzenia, rozrasta się do jakiegoś pałacu kultury. Wiemy dobrze, że nie stać nas na ufundowanie sobie w każdym polskim środowisku takiego pałacu, musimy zatem naszą ambicję przykroić do istniejących warunków i możliwości. Z pomocą przychodzi nam to, że — jak stwierdziliśmy — świetlica nie musi mieścić w sobie teatru, czytelni, dancingu, ale musi być ich SYNTEZĄ. Spróbujmy więc stworzyć taką syntezę w skromnych wymiarach, odpowiadających naszym warunkom.

URZĄDZENIE ŚWIETLICY

Urządzając świetlicę musimy mieć na uwadze fakt, że spodziewani jej uczestnicy to ludzie, nawykli już do nieco wyższego poziomu życiowego; wielu ma w domu radio, a poniektórzy telewizję. Poza tym domową namiastką świetlicy jest tzw. „sitting room", gdzie są przynajmniej dwa fotele, kanapa i nieodstępny kominek. Nawet sublokatorzy, mieszkający w jednym pokoju, mają też jakie takie wygody. Nie wdając się zbytnio w szczegóły, wypada stwierdzić, że nasza świetlica musi być umeblowana przynajmniej na poziomie przeciętnego, sublokatorskiego pokoju.

Kierownik świetlicy może osiągnąć wiele prowokując inicjatywę w gronie uczestników tak, by idea urządzenia i przyozdobienia świetlicy stała się ich własnością. Pozwólmy ludziom wyładować ich inwencję twórczą kierując ją na urządzenie i przyozdobienie wspólnego lokalu. Znajdzie się ktoś, kto umie robić abażury, znajdzie się miłośnik lub miłośniczka sztuk plastycznych oraz ktoś, kto umie operować narzędziami stolarskimi, by zrobić półki na książki, kije do czasopism oraz tablice ogłoszeń i komunikatów. Z pewnością nie zabraknie i miłośników książki, którzy zajmą się sporządzeniem katalogu, kart książek i kart czytelników, a może nawet i oprawą książek i obrazów. Ich pieczy wolno powierzyć czasopisma. W ten sposób już na samym początku, przy urządzaniu świetlicy, powstanie kilka zespołów o całkiem określonych zadaniach. Około bowiem p. Stefana, który zna się na stolarce, zgromadzą się inni, niefachowcy; będą oni szmerglować deski, malować je lub wykonywać inne pomocnicze prace. Około p. Anieli — miłośniczki książki staną jej koleżanki, ofiarowując swoją pomoc; przy p. Kazimierzu zbiorą się ci, co będą chcieli nauczyć się oprawy książek i obrazów, itd.

Oczywiście, zespoły te nie powstaną samorzutnie, same z siebie, jeśli uczestnicy świetlicy nie

będą przekonani iż urządzają własny lokal dla siebie, jeśli nie będą należycie rozumieli przysłowia: „jak sobie pościelesz — tak się wyśpisz“.

Im lepiej i piękniej będzie urządzona świetlica lub klub, — tym lepiej będą się w nich czuli ich uczestnicy. Kierownik zatem powinien zebrać ludzi, wyjaśnić swoje idee, naszkicować projekt i przybliżony koszt i poddać pod obrady zebranym. Niech zebrani się wypowiedzą, co ich zdaniem koniecznie trzeba kupić, a co da się zrobić we własnym zakresie. Nie od rzeczy będzie zapytać p. Stefana, jaki byłby przybliżony koszt półek, gdyby je obstalować w zakładzie stolarskim, i czy nie dałoby się zrobić ich tu, w świetlicy, wspólnymi siłami pod kierownictwem p. Stefana? Wówczas wydatki byłyby tylko na materiał. Jestem przekonany, że p. Stefan nie tylko nie odmówi, ale dołoży wszelkich starań, by te półki, podobnie jak i inny sprzęt, wykonane były jak najlepiej. Niech zebrani przejdą pozycję po pozycji całe urządzenie, niech przedyskutują każdy szczegół z osobna, a koszt urządzenia zmaleje znakomicie, bowiem p. Aniela i p. Kazimierz i inni podejmą się wykonania różnych rzeczy. Znajdą się tacy, co zaofiarują jakiś sprzęt, co zainicjują składki pieniężne na materiały, i tacy, co będą całymi wieczorami dłubać i urządzać wspólną siedzibę.

Polacy znani są ze swych zdolności do improwizacji; wyzyskajmy zatem tę cechę dla celów społecznych, dajmy ludziom sposobność do przejawienia ich inicjatywy i twórczości. Nie narzucajmy nic, a zręcznie i ostrożnie podsuwajmy myśl; pozwólmy przodowniczym typom, by się wysunęły przed gromadę i prowadziły tych, co się lepiej czują, gdy są prowadzeni. Pamiętajmy zawsze o tym, że kierownik świetlicy powinien nie przewodzić gromadzie, lecz służyć jej, bo praca jego — to służba społeczna; nie kierować i rozkazywać, a naprowadzać na odkrycie właściwej drogi i koordynować wysiłki i inicjatywy. Jednym z zadań pracy kulturalno-oświatowej jest wytworzenie w ludziach nawyku do umiejętnego korzystania z wolności i do solidnego spełniania obowiązków. Tu się zaczyna, tak zamącone dziś w polityce, pojęcie demokracji. Aby przywrócić właściwą treść temu pojęciu, warto zacząć od służby społecznej.

A. P. K.

ORGANIZACJA I FORMY PRACY POLSKIEJ YMCA PRZED WOJNĄ

Wielostronność akcji społecznej Polskiej YMCA w przedwojennej Polsce wyróżniała ją wśród innych organizacyj i instytucyj wychowawczych, a szeroki jej wachlarz programowy znajdował źródło w samym jej założeniu — wypełniania czasu młodych i dorosłych, wolnego od zajęć.

Polska YMCA była jednocześnie **organizacją** i **instytucją**. Jako **ruch młodzieżowy**, jedyny zresztą w swoim rodzaju, dla realizowania swych założeń posługiwała się nowoczesnymi warsztatami pracy, opartymi na najlepszych wzorach. Warsztatami tymi były jej własne budynki, których rozplanowanie i urządzenia wewnętrzne dostosowane były ściśle do potrzeb programowych. Te gmachy właśnie (Warszawa, Kraków, Łódź) wyrażając niejako stronę instytucyjną Związku, były znakomitym narzędziem w służbie programu. W mniejszych swych ośrodkach (Poznań, Gdynia) Polska YMCA dysponowała tylko lokalami dzierżawionymi, te jednak w granicach możliwości przystosowywane były do programu akcji.

Niemniej swoista była organizacja wewnętrzna i formy pracy Polskiej YMCA.

Członkostwo podzielone było według wieku, a tym samym według potrzeb i zainteresowań, charakterystycznych dla danych grup członkowskich.

Tak więc w każdym dużym Ognisku Polskiej YMCA istniały trzy podstawowe działy: **Chłopców, Młodych i Dorosłych.** Każdy z tych działów stanowił niejako odrębną całość, posiadał własny komitet, personel zawodowy, organizację i program.

Działy Chłopców posiadały odrębne lokale, działy Młodych i Dorosłych — wspólne. Jasne jest, iż odrębność programowa działu Chłopców była najwyraźniejsza; natomiast programy pracy działów Młodych i Dorosłych często zazębiały się, trudno bowiem o zupełne rozgraniczenie tych dwóch kategoryj członkostwa. Ideą przewodnią w tym podziale było nie wyodrębnienie młodych od dorosłych, lecz zapewnienie młodym programu działalności, odpowiadającego zainteresowaniom ich wieku.

Równolegle z działami każdego dużego Ogniska istniały **wydziały**, planujące i realizujące w ścisłym porozumieniu z działami akcję dla wszystkich członków, a więc wydziały: **Oświatowy, Wychowa-**

nia Fizycznego (w ostatnich latach zwane W. F. i Zdrowia) oraz **Ogólny.**

W całej działalności Polskiej YMCA można wydzielić zawsze trzy kierunki: **nastawienie na jednostkę, grupę i masę.**

Jako przykład pracy z jednostką posłużyć mogą: kontakt osobisty pracowników zawodowych i przodowników-wolontariuszów z poszczególnymi członkami, poradnictwo czytelniane, opieka lekarska.

Praca z grupą — to organizowanie członków w kluby i koła, bądź mające na względzie służbę społeczną, bądź reprezentujące zamiłowania członków w tych lub innych kierunkach (zespoły, ćwiczące na salach gimnastycznych i pływalniach, chóry, wszelkiego rodzaju kursy o zakroju kulturalno-oświatowym lub zawodowym).

Działalność masowa obejmowała: odczyty, koncerty, obchody, zebrania dyskusyjne, słowem, wszystkie te rodzaje działalności, które służą większym zbiorowiskom, i to zarówno członków, jak i osób spoza Związku.

W działalności wychowawczej Polskiej YMCA wysuwały się na czoło następujące idee kierownicze: **praca nad sobą, współpraca i praca dla innych.**

Tymi trzema drogami Polska YMCA dążyła do wcielania w życie treści swego programu, obejmującego:

1) Kształcenie charakteru i wychowanie społeczne.
2) Akcję kulturalno-oświatową i kształcenia zawodowego.
3) Wychowanie fizyczne i zdrowie.
4) Akcję społeczno-opiekuńczą.

Wydział Ogólny miał za zadanie:

1. Stworzenie w każdym z działów środowiska wpływów wychowawczych, stosującego przede wszystkim następujące zasady:

a) kierowanie się zasadami chrześcijańskimi w życiu codziennym;
b) lojalność i czynny stosunek do państwa i społeczeństwa;
c) poszanowanie uczuć, poglądów i zainteresowań innych;
d) bezinteresowną pracę dla dobra ogółu;
e) uczciwość w sprawach finansowych, jak i w postępowaniu z ludźmi;
f) obowiązkowość, punktualność, systematyczność i porządek w pracy;
g) poszanowanie własności indywidualnej i społecznej;
h) schludny wygląd zewnętrzny;
i) przykładne zachowanie się w każdej sytuacji i w każdym miejscu.

2. Podniesienie poziomu kultury życia społecznego.

3. Zapewnienie członkom zdrowej rozrywki, dającej pożytek, istotny odpoczynek i odprężenie, możliwość wyżycia się w kulturalnej formie, równowagę i zadowolenie wewnętrzne, radość życia.

Zadania powyższe realizowano przez:

1. Pracę klubów, jak np. Gospodarzy, Przyjaciół Ośrodków na przedmieściach, a więc zespołów służby społecznej, oraz kół, jak np. Filatelistyczne, Szachowe, Fotograficzne, Dramatyczne, Muzyczne, Taneczne, Ping-pongowe, a więc zespołów, skupiających jednostki o jednakowych zainteresowaniach.

2. Obchody świąteczne i narodowe.

3. Imprezy o podkładzie społecznym.

4. Imprezy specjalne, jak Tydzień Oszczędności, Tydzień Antyalkoholowy, Dni Morza, Tydzień LOPP itp.

5. Kursy z zakresu kształcenia charakteru, uspołecznienia i nauki obywatelskiej.

6. Zebrania członkowskie ogólne, mające na celu zapoznawanie członków z ideologią, organizacją i formami pracy Polskiej YMCA; zebrania zapoznawcze dla nowych członków.

7. Kursy dla przodowników Polskiej YMCA i wolontariuszów służby społecznej.

8. Utrzymywanie kontaktu z rodzicami chłopców oraz władzami szkolnymi; współpracę z innymi organizacjami młodzieżowymi.

9. Prowadzenie akcji wczasów (obozy letnie i zimowe, przystanie, obozy wędrowne, wędrówki turystyczne, wycieczki pozamiejskie itp.).

10. Organizowanie imprez o charakterze towarzyskim.

11. Urządzanie zebrań rozrywkowych, wieczornic, turniejów, konkursów, wystaw, wycieczek miejskich, pokazów zawodowych itp.

Wydziały Oświatowe miały za cel szerzenie wiedzy, traktując ją jako proces kształtowania osobowości.

W szczególności zadaniem wydziałów Oświatowych było:

1. Dążenie do wytworzenia czynnej postawy wobec oświaty i kultury w sensie ciągłego rozszerzania i pogłębiania własnej osobowości.

2. Praca nad podniesieniem ogólnego poziomu kulturalnego.

3. Stwarzanie możliwości dokształcania się ogólnego i zawodowego.

4. Umożliwienie zdobywania konkretnych umiejętności.

5. Udostępnianie członkom, posiadającym specjalne zainteresowania i uzdolnienia, pracę w tych kierunkach z równoczesnym dążeniem do rozszerzania kręgu ich zainteresowań i ich uszlachetnienia.

Wydziały Oświatowe prowadziły:

1. **Kursy o charakterze dokształcającym** — w kierunku zawodowym lub ogólnym.

Dla osób, które pragnęły się doskonalić w zawodzie, oraz dla zawodów, które nie posiadały zorganizowanego szkolnictwa fachowego — Polska YMCA organizowała kursy dokształcające lub spec-

jalne, jak np. kursy sztuki sprzedawania, kursy dla sekretarzy i sekretarek itp.

Dla osób, które kształciły się poza ramami swej specjalności, Polska YMCA organizowała kursy krótkoterminowe ogólnokształcące, jak np.: kursy kultury teatralnej, nauki o sztukach plastycznych, socjologiczne itp.

Dla osób, które dążyły do usprawnienia się w zawodzie, kursy techniki pracy umysłowej, kultury słowa mówionego, języków obcych itp.

2. **Kluby oświatowe i grupy samokształceniowe.** Dla umożliwienia kultywowania zainteresowań poszczególnych grup swych członków, Polska YMCA organizowała kluby i koła oświatowe, jak językowe, sprzedawców, dyskusyjne.

Dla rozwijania i pogłębiania zainteresowań — prowadziła prace samokształceniowe w specjalnych zespołach.

3. Odczyty, pogadanki, wystawy, wycieczki, pokazy.

4. Biblioteki samokształceniowe, wypożyczalnie książek i czasopism, czytelnie.

5. Imprezy o zakroju kulturalno-oświatowym, jak: wieczory dyskusyjne, wieczory literackie, przedstawienia teatralne, koncerty, pokazy baletowe i in.

Wydziały Wych. Fiz. i Zdrowia Polskiej YMCA, które odegrały w Polsce wybitną rolę pionierską, stanowiły także ze względu na liczebność jednostek, objętych tą akcją, ważną pozycję w skali państwowej. Służyły one zarówno członkom Polskiej YMCA, jak i bardzo licznym zespołom zewnętrznym — szkołom, organizacjom, grupom fabrycznym, wojsku, zespołom kobiecym. Jak i na każdym odcinku pracy Polskiej YMCA, czynnik społeczno-wychowawczy odgrywał przeważną rolę w akcji tych wydziałów. Poprzez w. f. i sport Polska YMCA krzewiła zasady o kapitalnym znaczeniu dla kształtowania charakterów, a jednocześnie propagowała szeroko higienę osobistą, znajomość zasad racjonalnego odżywiania się i traktowanie opieki lekarskiej, jako części składowej potrzeb życiowych człowieka, nawet gdy jest on w pełni sił i zdrowia.

Zadania swe wydziały W.F. i Zdrowia Polskiej YMCA realizowały przez:

1. Poradnie sportowo-lekarskie.
2. Ćwiczenia na salach i pływalniach.
3. Działalność ośrodków sportów i turystyki wodnej.
4. Obozy letnie i zimowe.
5. Wycieczki turystyczne.
6. Kursy instruktorów i przodowników w. f.
7. Akcję odczytową z dziedziny w. f. i higieny.
8. Nauczania i przeprowadzanie umiejętności: pływania, wioślarza, boksera, szermierza, strzelca, gimnastyka itp.
9. Przeprowadzenia prób na odznaki państwowe, jak np. strzelecka, P.O.S. i in.
10. Pokazy.
11. Zawody sportowe wewnętrzne.
12. Koła o zainteresowaniach specjalnych, jak: Szybowcowe, Żeglarskie, „Skimka", Strzeleckie itd.

Zarówno, jak na innych polach swej akcji, Polska YMCA i tu nie stanowiła konkurencji dla nikogo, a przeciwnie współdziałała z innymi organizacjami i instytucjami, stawiając do ich dyspozycji swe niezrównane urządzenia.

Specjalną dziedzinę pracy Polskiej YMCA stanowiła akcja wśród **chłopców opuszczonych**, przeważnie gazeciarzy. Brać ta miała do dyspozycji świetlice w dzielnicach, gdzie była najbardziej skupiona, równolegle jednak korzystała z urządzeń w budynkach centralnych. Mimo, iż w zasadzie Polska YMCA nie prowadziła tzw. opieki zamkniętej, a więc burs i internatów, odstępowała wszakże od tej zasady, gdy wymagała tego sytuacja, jak np. w Krakowie, gdzie uruchomiła wzorowy internat dla chłopców bezdomnych.

ANNA BOGUSŁAWSKA

O TRWAŁOŚCI I KONSERWACJI KSIĄŻKI BIBLIOTECZNEJ

I

Wśród wielkich mnogości bibliotek o rozmaitych celach i zakresach działania zarysowują się dwa zasadnicze typy: biblioteki, których głównym zadaniem jest przechowywanie dorobku czasów dawnych i obecnych dla potomności, oraz biblioteki, których głównym celem jest obsługiwanie czytelników, dostarczanie im literatury, zaspakajającej potrzebę pogłębiania wiedzy, doszkolania się zawodowego, rozrywki, informacji itd.

Rozgraniczenie to nie jest ostre, bo biblioteki pierwszego typu (przede wszystkim biblioteki narodowe, jaki Biblioteka Narodowa w Warszawie lub British Museum w Londynie) obsługują zazwyczaj pewną grupę czytelników, przeważnie badaczy w dziedzinie nauki i sztuki, a biblioteki drugiego typu, jak np. biblioteki publiczne, posiadają często księgozbiory specjalne o dużej wartości historycznej, przechowywane z wielkim pietyzmem i dostępne tylko na miejscu, za specjalnym pozwoleniem. Mimo to

można zorientować się, co jest głównym zadaniem biblioteki i do której grupy zasadniczo ona należy.

Oba zresztą typy mają do czynienia z zagadnieniami, związanymi z konserwacją książki, z troską o jej trwałość, a jedynie ustosunkowanie się do tych kwestii jest nieco inne. Zbiory, które przechowujemy dla potomności, powinny posiadać nieprzemijającą trwałość i żadne koszty nie wydają się zbyt wysokie, aby je wydrzeć niszczycielskiemu działaniu czasu. Biblioteki, których głównym celem jest obsługiwanie czytelników, równie troszczą się o trwałość książki, o to, aby jak najdłużej spełniała ona swoje zadanie, — ale muszą się również liczyć z kosztami i orientować się, na co która praca zasługuje. Istnieją bowiem dzieła klasyczne, do których ludzie powracają przez wieki, i wydawnictwa jednodniowe, rozchwytywane dziś, a zapomniane jutro; istnieją opracowania naukowe, zastępowane po kilku latach przez inne, bardziej zgodne z postępem wiedzy, oraz czasopisma, almanachy i pisma codzienne, służące chwili bieżącej.

Książka jest mową symboli. Jej autor kładzie na papier pewną liczbę znaków, będących wyrazem jego myśli, uczuć i dążeń. Symbole te mają obudzić w czytelniku odpowiadający im łańcuch przeżyć. Ten proces czysto duchowy jest tylko wówczas możliwy, jeśli książka, jako przedmiot materialny, stanowi zwartą, uporządkowaną całość, jeśli karty tkwią mocno w grzbiecie oprawy, która ją chroni przed zniszczeniem, jeśli papier wytrzymuje próbę czasu, a farba drukarska nie zblakła do tego stopnia, że uniemożliwia czytanie.

Te właśnie czynniki materialne wysuwają się na miejsce naczelne przy konserwacji książki, choć każda książka, zależnie od epoki swego powstania i swego przeznaczenia, budzi problemy specjalne.

Księgi, produkowane w pierwszych wiekach istnienia drukarstwa, odznaczały się niezwykłą trwałością i wiele z nich dożyło do dnia dzisiejszego. Były one wynikiem pracy rękodzielniczej rzemieśników i artystów i odznaczały się solidnością, właściwą większości przedmiotów swoich czasów. Surowców używano solidnych i trwałych i nie szczędzono pracy, aby je właściwie wykorzystać. W wieku 18-ym można już znaleźć od tego pewne odchylenia, jak np. efektowne, ale niepraktyczne wprowadzenie skór cielęcych na okładki, które niszczeją szybko. Jednakże zasadnicze zmiany są niewielkie.

Z początkiem wieku 19 maszyny zaczynają wypierać pracę ręczną. W roku 1798 wynaleziono maszynę do masowej produkcji papieru. Koło roku 1850 w samej Anglii znajdowało się już około 200 papierni.

W roku 1814 drukarnia „Times'a“ wprowadza pierwszą płaską maszynę drukarską, poruszaną parą. Maszyna ta przechodzi stopniowe udoskonalenia, a od roku 1860 znajduje współzawodniczkę w maszynie rotacyjnej, która może wybić na godzinę do 40.000 arkuszy, co wobec 1.000 arkuszy, drukowanych przez pierwszą płaską maszynę, stanowiło wielki postęp.

Maszyna do składania tekstów, zwiększająca wydajność pracy zecera, wchodzi w życie dopiero przy końcu wieku 19. W tym samym mniej więcej czasie podjęto pierwsze próby oprawy książek przy pomocy maszyn.

W ślad za tą pracą szybszą, a więc tańszą, idzie poszukiwanie tanich surowców. Dla fabrykanta-wytwórcy trwałość produkcji staje się najczęściej sprawą drugorzędną, obchodzi go natomiast przede wszystkim — taniość. Mija bezpowrotnie okres, kiedy papier produkowano wyłącznie ze szmat. W ciągu 19 stulecia podejmowano próby wyrabiania papieru ze wszelkich możliwych surowców, jak słoma, trawa afrykańska „espanto“, masa drzewna traktowana chemicznie, masa drzewna obrabiana mechanicznie, torf i kora. Podobne doświadczenia podejmowano przy wytwarzaniu innych materiałów, niezbędnych dla powstania książki.

W wyniku zdarza się często, że książki z końca wieku 19, przechowywane w bibliotece, znajdują się w gorszym stanie i sprawiają konserwatorowi więcej kłopotu, niż wczesne druki z 15 czy 16 stulecia. Z książek, wydanych współcześnie, wiele nie nadaje się w ogóle do użytku w bibliotekach, nawet takich, których celem jest jedynie zaspokajanie bieżących potrzeb czytelników. Toteż bibliotekarze i związki biblioteczne wypowiadają walkę książce tandetnej i nietrwałej.

Równocześnie specjaliści opracowują wskazówki, które mają dopomóc bibliotekarzowi w przedłużaniu życia książki. Omówienie problemów, związanych z konserwowaniem zbiorów bibliotecznych, ma oczywiście duże znaczenie praktyczne, zwłaszcza dla pracowników oświatowych. Warto się zapoznać z nimi dokładnie ze wzglę-

du na te szczególne warunki, w jakich czynne są nasze biblioteki na uchodźstwie.

II.

Specjalna komisja, wyłoniona ze Związku Bibliotekarzy Brytyjskich (Library Association), przez dwa lata prowadziła badania nad trwałością papieru drukowanego. Orzekła ona, że tam, gdzie chodzi o książkę jak najtrwalszą, należy używać pierwszego gatunku papieru, wykonanego z białych albo niebieskich szmat lnianych lub bawełnianych. Powinien on zawierać jak najmniej ałunu i soli żelaza i nie zawierać wcale soli mineralnych. Najlepszy jest wykonany ręcznie i „klejony" po wykończeniu; w najgorszym razie można go wyprodukować maszynowo i klej dodać do masy papierowej podczas produkcji, pod tym warunkiem, że składniki będą niezmienione.

Jeżeli chodzi o książkę trwałą, nadającą się do użytku w bibliotece, ale nie specjalnie kosztowną, komisja poleca papier drugiego gatunku. Może on być wykonany z masy drzewnej traktowanej chemicznie, byle masa była, tak jak i w przypadku gatunku pierwszego, dobrze wypłuka z chemikalii użytych do bielenia. Domieszka ałunu i soli żelaza winna być jak najmniejsza, zawartość żywicy — poniżej 2 proc., substancji mineralnych (jak kaolin) — poniżej 6 proc.

Jest sprawą związku bibliotekarzy i pokrewnych organizacji wpływanie na wydawców i zachęcanie ich do drukowania książki bibliotecznej na papierze nie gorszym niż gatunek drugi, egzemplarzy zaś obowiązkowych, posyłanych do bibliotek narodowych, na papierze gatunku pierwszego. Zwykły bibliotekarz rzadko ma możność wyboru między wydaniami, drukowanymi na różnym papierze. Przy kupnie książek musi umieć rozpoznać i odrzucić wydawnictwa, drukowane na papierze najgorszym, które rozpadłyby się po krótkim czasie. Najczęściej jednak interesuje go kwestia przedłużenia życia książkom istniejącym już w bibliotece i wzmocnienia papieru, na którym zostały wydrukowane.

Osobno trzeba rozpatrzyć zagadnienie związne ze zbiorami, przechowywanymi dla potomności, i z książką użytkową.

W pierwszym przypadku chodzi często o wzmocnienie papieru, nadwątlonego działaniem czasu, w całej książce. Czasami papier można wzmocnić przez ponowne pokrycie powierzchni warstwą kleju, np. przez zanurzenie go w roztworze żelatyny. W tym celu książkę rozbiera się na sekcje, arkusze czyści się na sucho i każdy zanurza w roztworze.

Innym sposobem wzmacniania papieru cennych książek jest pokrywanie obu stron każdej karty nadzwyczaj cienkim, przejrzystym muślinem jedwabnym lub lnianym. Muślin jedwabny jest bardziej przejrzysty od lnianego i mniej zmienia wygląd stronicy, jest natomiast kosztowniejszy i mniej zabezpiecza papier od zmian atmosferycznych.

Książkę użytkową w bibliotecę rzadko kiedy podaje się tak pracowitym i kosztownym zabiegom. Jeżeli papier jest w niej tak słaby, że nie może wytrzymać dalszych wypożyczeń, lepiej opłaca się nabycie nowego egzemplarza, o ile to jest możliwe. Jeżeli wydawnictwo jest całkowicie wyczerpane, trzeba pamiętać, że w obecnych czasach istnieje wiele tanich sposobów sporządzenia duplikatow nadwątlonych kart metodą fotograficzną. Aparaty do powielania posiada British Museum, biblioteka uniwersytecka w Senate House w Londynie i inne wielkie biblioteki brytyjskie. W British Museum można dostać cennik, wymieniający opłaty za każdą odbitkę.

O aparatach tych dobrze jest również pamiętać, gdy zagubiono kartkę lub parę kart książki, której nie można odkupić. Często wypożyczenie innego egzemplarza i sporządzenie z niego duplikatów, które można wkleić w odpowiednich miejscach, jest dobrym rozwiązaniem.

Pospolitą troską bibliotekarza w stosunku do książki użytkowej jest naprawianie rozdartej kartki. Jeśli papier został rozdarty aż poza granicę druku, pasek mocnej i przejrzystej bibułki winien być przyklejony białą pastą klejową. Rozdarte marginesy lepiej reperować paskiem mocnego papieru, o ile możności dobranego odcieniem do koloru kart książki.

Ważną jest rzeczą, aby książki uszkodzone nigdy nie były wypożyczane czytelnikowi bez uprzedniego naprawienia. Wypożyczanie egzemplarzy z kartami porozdzieranymi lub wypadającymi z okładki uczy nieposzanowania książki, poza tym zaś uniemożliwia zorientowanie się, który z czytelników jest winien poczynionym szkodom, i tym samym prowadzi ku dalszemu zniszczeniu.

Oprawa jest nie tylko ozdobą książki, ale również i przede wszystkim jej ochroną. Trudno wyobrazić sobie bibliotekę wypożyczającą książki nie oprawne, a tylko zbroszurowane; musiałyby

one ulec zniszczeniu po niewielkiej liczbie wypożyczeń.

Oprawa, w niemniejszym stopniu niż papier, przeszła swą ewolucję od lepszego ku gorszemu, od kosztownych, mocnych i często bardzo pięknych opraw ksiąg starych do dzisiejszej oprawy maszynowej, taniej, szybkiej i nietrwałej.

Podziw budzi sprawność maszyn, oprawiających książki, które w zawrotnym tempie wykonują wszystko: składają arkusze na sekcje, zszywają te sekcje, formują grzbiet, smarują go klejem itd., itd. Jednak oprawa maszynowa nie wytrzymuje porównania z oprawą ręczną i zakłady introligatorskie dawnego typu nie straciły swego znaczenia. Większe biblioteki zakładają często małe introligatornie na własny użytek, co jest bardzo ekonomiczne, bo nie tylko książki, które nabywa biblioteka, mogą być szybko i ekonomicznie oprawione, ale wszystkie naprawy można wykonać na miejscu. W warunkach polskich podobną rolę mogą czasem odegrać kursy introligatorskie w „hostelach".

Bibliotekarz, który nabywa nowe książki, i konserwator, który stara się przedłużyć ich żywot, powinni zdawać sobie sprawę, na czym polega zła i dobra oprawa, i umieć dobrać odpowiedni rodzaj dla kazdej książki.

Oprawa, zwłaszcza oprawa ręczna, jest najkosztowniejszą rzeczą w produkcji książki. Biblioteki wydają na oprawę książek duży procent swego budżetu.

W przeciwieństwie do przekonania, ugruntowanego w początkach obecnego stulecia, że każda książka biblioteczna powinna być oprawiona jak najsolidniej, obecnie przeważa pogląd, że każde wydawnictwo należy traktować indywidualnie. Ze względów budżetowych trzeba rozważyć, jak długie życie i ile wypożyczeń przewiduje się dla danej książki. Jeżeli bibliotekarz decyduje się na oprawę ręczną, ma przed sobą całą skalę możliwości, od których zależy trwałość i koszty. Sztuka polega na tym, aby wybrać oprawę właśnie dość trwałą, ale nie za kosztowną.

Trwałość zależy od użytych materiałów i od sposobu oprawy. Jeśli chodzi np. o szycie arkuszy, w szyciu ręcznym używa się najczęściej nici oraz sznurków (lub taśm) biegnących w poprzek grzbietu z niebielonego lnu, w przypadkach zaś, gdy chodzi o największą trwałość, — z niebielonego jedwabiu. Producenci fabryczni szyją książki nićmi z lepszych gatunków bawełny. Duże znaczenie ma również sposób szycia i grubość zszywanych sekcji. W starych księgach sekcje składały się najczęściej z 12-16 stronic; przy oprawie maszynowej formuje się często sekcje z arkuszy, liczących po 64 strony. Szycie ręczne zastępuje się innymi, tańszymi sposobami, a czasem spinaniem sekcji metalowym drutem. Istnieje nawet sposób oprawy polegający na tym, że grzbiet arkusza obcina się, a następnie poszczególne karty spaja klejem i obejmującym je paskiem muślinu. Książka tak spreparowana rozpada się po kilkakrotnym czytaniu i nie nadaje się już do oprawy bibliotecznej.

Istnieją różne sposoby formowania grzbietu książki i trzeba wiedzieć, do jakiej oprawy i do jakiej książki, zależnie od jej grubości, ciężaru i użytych na okładkę materiałów, każdy z nich się nadaje.

Tekturę na okładki można wybrać spośród całej skali gatunków — od tzw. czarnej tektury o niezwykłej trwałości, wyrabianej z odpadków lnu, poprzez różnego rodzaju tektur klejonych, aż do najsłabszej — ze słomy. W najstarszych księgach tekturę zastępowały często cienkie deszczułki drewniane.

Do 19-ego stulecia skóra w jej najrozmaitszych gatunkach i odmianach była niemal jedynym materiałem do pokrywania okładki, a do tej pory jest uważana — o ile była właściwie spreparowana — za materiał najtrwalszy. Nawet najmniej wartościowe skóry owcze przetrwały w niezłym stanie na wielu książkach z 16 i 17 stulecia.

Jednakże i skóry zaczęły w drugiej połowie 19-go wieku sprawiać konserwatorom książek wiele niemiłych niespodzianek. Poza zrozumiałymi śladami zużycia na książkach starszych, zauważono na nowych oprawach skórzanych ślady rozkładu chemicznego, który zamieniał skórę w sypiący się pył i niszczył okładkę już w pierwszych kilkunastu latach. Brytyjski Związek Bibliotekarzy wyłonił komisję dla przeprowadzenia badań nad trwałością papieru, a stowarzyszenie badawcze brytyjskich wytwórców skór, zaniepokojone rozkładem chemicznym skór obecnie wyprawianych, poczęło badać przyczynę procesu.

Przyczyną okazała się zmiana sposobu barwienia skór. W dawniejszym okresie skóry barwiono na sucho. Od 1881-go roku skóry zanurza się w wodzie podczas procesu farbowania. To właśnie pozbawia je odporności na rozkład chemiczny, którego przyczyną jest tworzenie się na skó-

rach kwasu siarkowego przez absorbcję dwutlenku siarki z powietrza.

Na szczęście odkryto, że skórę można uodpornić sztucznie przed rozkładem chemicznym przez traktowanie jej 7-io procentowym roztworem potassium lub sodium lactate. Wynaleziono również sposób, za pomocą którego można wypróbować, czy skóra jest uodporniona na działanie dwutlenku siarki. Komisja przeprowadzająca badania zaleca, aby w Wielkiej Brytanii na oprawę książek używać tylko takie skóry, które są ostemplowane napisem „Guaranteed to resist P.L.R.A. test".

Jednakże i skóry na starszych okładkach mogą stracić odporność, jeśli zostaną poddane działaniu wody. W tym przypadku zaleca się: 1) w 24 godziny po zmoczeniu skóry potraktować je 7-io procentowym roztworem soli sodowej lub soli potasowej kwasu mlekowego (sodium lub potassium lactate); 2) po następnych 24 godzinach nasmarować tłustą pastą. Do najlepszych należy „British Museum leather dressing", którą można nabyć w British Museum w Londynie i której celem jest natłuszczenie skóry i zabezpieczenie jej przed skutkami fizycznego zużycia; 3) w 48 godzin po tych zabiegach skórę na okładce można wyglansować.

Niestety niewiele można dopomóc, jeżeli skóra zaczęła już podlegać rozkładowi chemicznemu. W tym wypadku tłusta pasta może opóźnić nieco proces i nic więcej nie można poradzić.

Oprawy pergaminowe nie absorbują dwutlenku siarki i nie podlegają rozkładowi chemicznemu. Oddziaływują na nie natomiast silnie wilgoć i susza, powodując marszczenie się. Toteż księgi o pergaminowych okładkach lub całe drukowane na pergaminie (użytym zamiast papieru) winny być przechowywane w odpowiednich warunkach atmosferycznych, często wycierane wilgotną gąbką lub ściereczką, a następnie suszone szybko, w temperaturze pokojowej, najlepiej na przeciągu. Można zastosować potem małą ilość tłustej pasty i wyglansować pergamin już po paru godzinach. Bliższych szczegółów dostarcza broszura: Plenderleith, Preservation of leather bookbindings, London.

Mimo, że oprawa z dobrej skóry jest nadal uważana za najmocniejszą i najtrwalszą, została ona w dużej mierze wyparta, jeśli chodzi o oprawę książki użytkowej w bibliotece, przez materiały inne, przede wszystkim przez odpowiednio przygotowane i nasycone klejem płótno. Pierwszy raz płótno takie użyto w Anglii w roku 1823-im. W latach 1830-40 zdobyło sobie ono całkowite prawo obywatelstwa.

Płótno góruje pod kilkoma względami nad skórą: jest tańsze, dość wytrzymałe na oprawę książki w bibliotece użytkowej, mniej podległe zmianom atmosferycznym, można je nabyć w bogatej gamie kolorów i gatunków. Książka, oprawiona w płótno, mniej zajmuje miejsca na półce i jest lżejsza.

Jednakże przy kupnie płótna na oprawy trzeba być bardzo ostrożnym, gdyż istnieją gatunki o nierównej wartości, a także falsyfikaty. Z gatunków wyrabianych w Anglii wymieńmy tu „double warp buckram", płótno lniane, najmocniejszei najtrwalsze, kosztowne, lecz wskazane dla książek ciężkich, o mocnym papierze, dla których przewidujemy długą i pracowitą służbę. „Single warp buckram", „Rexine" lub „Art Canvas" są stosowane dla książek lżejszych, które żyją krócej. Oprawia się w nie większość powieści. „Lynsen" jest falsyfikatem, tj. mocnym papierem o wyglądzie płótna. Nadaje się do oprawy najwyżej cienkich broszur. Do oprawy książek dziecinnych stosuje się często płótno odporne na wodę (waterproof), które można z łatwością myć i czyścić. W każdym przypadku trwałość koloru jest rzeczą zasadniczą.

Słowniki, encyklopedie i inne książki podręczne oprawia biblioteka często w półskórek, dając grzbiet z mocnej skóry, okładki — z płótna.

Obecnie czynione są próby oprawiania książek w „plastyk", ale pomysł ten znajduje się w stadium doświadczalnym. Wiele bibliotek natomiast stosuje plastyk dla obłożenia już oprawnej książki i stwierdzono, że okładzinka taka jest bardzo praktyczna i wytrzymuje około czterdziestu wypożyczeń.

PONOWNA OPRAWA I REPERACJA

Zużyta książka biblioteczna wymaga często reperacji lub ponownej oprawy. Była już mowa o wzmacnianiu papieru i reperacji podartych kart książki. Jeśli okładki się wyłamują, można temu zaradzić przez danie nowego grzbietu z paska mocnej skóry, przyklejonej do grzbietu i części okładek.

Często biblioteki wzmacniają we własnych introligatorniach maszynową oprawę książek świeżo zakupionych. W tym przypadku przeszywa się ponownie pierwszy i ostatni arkusz, a okład-

ki zastępuje się nowymi, lepiej przymocowanymi i z mocniejszej tektury.

Gdy potrzebna jest nie reperacja, ale nowa oprawa, trzeba rozważyć dwa przypadki: 1) jeśli inny egzemplarz danej pracy może być nabyty, bibliotekarz powinien się zastanowić, czy nabycie i oprawa tego nowego egzemplarza nie kosztowałaby taniej niż naprawa, łącznie z reperacją, starego. Należy również zbadać wytrzymałość papieru i zastanowić się, czy marginesy nie są zbyt wąskie, bo przy ponownej oprawie książka wymaga zawsze przycięcia. 2) W przypadku, gdy innego egzemplarza nabyć nie można, a posiadanie książki jest ważne dla biblioteki, decydujemy się zawsze na oprawę mimo istniejących zastrzeżeń i wykonywamy reperacje, które zazwyczaj są pracowite i kosztowne.

Dla oświatowców i bibliotekarzy w Wielkiej Brytanii podaję kilka adresów. Reperacji rzadkich i cennych książek, łącznie ze sporządzeniem duplikatów zagubionych lub zniszczonych kart podejmuje się firma: Specialists in book repair ZACHNSDORF Ltd., 146, Shaftesbury Avenue, London, W. 1.

Istnieją poza tym agencje, których adresy można znaleźć w działowej książce telefonicznej pod nazwą FOTOCOPYING SERVICES. Firmom tym można powierzyć sporządzanie duplikatów zagubionych lub zniszczonych kart książek mniej wartościowych, o ile oczywiście zdołamy wypożyczyć nieuszkodzony egzemplarz. Podaję adres jednej z fim: ROYAL SOCIETY OF MEDICINE'S PHOTOGRAPHIC UNIT, Deving Yard, 67, New Bond Street, London. W. 1. (przyjmuje ona zamówienia nie tylko z zakresu medycyny).

W przypadkach innych problemów praktycznych najlepiej zwrócić się o radę do miejscowej biblioteki publicznej, w miarę możności do centrali biblioteki, a nie do jednego z jej oddziałów.

WIDOKI NA PRZYSZŁOŚĆ

Nowe perspektywy otwiera przed konserwatorem możliwość posługiwania się mikrofilmem, to jest możność fotografowania stronic i arkuszy w ogromnym zmniejszeniu, na zwojach lub arkusikach niezwykle trwałej błony filmowej. Zmniejszenie jest tak wielkie, że na arkusiku o wymiarach 3x5 cali można pomieścić 500 kart książki. Biblioteki przechowujące mikrofilmy są zaopatrzone w aparaty powiększające, w których odfotografowane na błonach druki dają się z łatwością odczytać.

Nie tylko trwałość, ale i łatwość przechowywania odgrywa tu wielką rolę. Wobec stale wzrastającej liczby druków (książek, broszur, periodyków itd.) sprawa miejsca staje się ciężkim problemem dla wielu bibliotek. Zważmy, że np. samych tylko pism medycznych wychodzi kilka tysięcy i że obliczono, iż przeciętna biblioteka specjalna w ciągu dwudziestu lat podwaja swą objętość.

Mikrofilm ułatwia również zabezpieczenie dorobku kulturalnego na wypadek wojny.

JERZY GALIŃSKI

CZYTANIE MIŁE I POŻYTECZNE

Czytanie jest czynnością na wskroś osobistą, nie poddającą się regulowaniu z zewnątrz. Na tym właśnie polega jego wyższość nad innymi formami zdobywania wartości kulturalnych, że w czasie obcowania z książką nikt nie dyktuje nam, kiedy mamy lekturę zacząć, gdzie ją przerwać, w jakim czasie zakończyć. Bibliotekarz wyznacza co prawda jakieś terminy zwrotu, ale można je zazwyczaj przedłużyć; jeśli zaś książka stanowi naszą prywatną własność, znikają wszelkie ograniczenia.

Tak samo nie jesteśmy skrępowani co do miejsca i innych okoliczności zewnętrznych. Czytanie wypełnia długie chwile przejazdu z domu do miejsca pracy — i uprzyjemnia czas w łóżku przed zaśnięciem. Nie przeszkadzają mu choroby, z wyjątkiem jakichś ciężkich, obłożnych przypadków, związanych z dużą gorączką. Do książki zagląda się w czasie pracy z okazji przygodnych przerw, a uczniowie w szkole potrafią urozmaicać sobie godziny lekcyjne lekturą książki, ukrytej pod ławką. Porównajmy tę bezgraniczną niemal swobodę z warunkami np. słuchania koncertu albo obserwowania filmu, a różnica ujawni się jaskrawo; nie zdołają jej zatrzeć wysiłki przedsiębiorców, aby słuchanie i oglądanie uczynić jak najwygodniejszym.

Inną pociągającą właściwością książki jest jej zdolność przystosowania się do czytelnika zarówno pod względem zewnętrznym, jak i w zakresie treści. Nawet duży tom mieści się z łatwością w zwykłej teczce, ale na rynku znajduje

się również wielki wybór wydawnictw kieszonkowych, które wślizgują się bez trudu do marynarki lub płaszcza. Przed dwustu laty rozpowszechniła się moda maleńkich tomików, przeznaczonych dla wygody eleganckich pań; dzisiaj są one rzadsze, ale kto ich potrzebuje, uzyska je napewno w każdej większej księgarni. Jeśli zaś chodzi o wartość, piśmiennictwo współczesne wykazuje tak wielką rozmaitość, taką elastyczność w przystosowywaniu się do różnorodnych potrzeb, zainteresowań i upodobań, że każdy może dobrać sobie odpowiedni zasób książek, a nawet całą biblioteczkę.

Wszelkie zalecenia, dotyczące sposobu czytania, nie powinny w niczym zakłócać tego największego przywileju lektury, jakim jest wolność. Zmierzają one raczej do tego, aby wolność tę jak najbardziej umocnić przez zapobieżenie czynnościom zbędnym i osiąganie jak największej korzyści i zadowolenia, co z kolei może zachęcić do jeszcze bliższej zażyłości ze światem książki.

SZYBKO CZY WOLNO?

Tempo czytania bywa różne. Niektóre osoby „połykają" tomy niemal błyskawicznie; inne przesiadują nad nimi długo. Zależy to od czysto indywidualnych właściwości i od nabytych przyzwyczajeń. Kiedyś słyszało się zdanie, że tylko lektura powolna przynosi prawdziwą korzyść; dzisiaj rzeczoznawcy wypowiadają się na ten temat z większą ostrożnością.

O szybkości rozstrzyga w niemałym stopniu rodzaj książki. Rozprawę matematyczną, najeżoną wzorami, nawet wprawiony czytelnik studiuje bardzo powolnie. Na odwrót, powieść na wskroś rozrywkowa wiele czasu nie zajmuje. Mimo woli przystosowujemy się do rodzaju tekstu oraz do jego znaczenia dla naszych zajęć zawodowych, samopoczucia itp. Wiersze czytamy na ogół znacznie wolniej, niż tekst prozaiczny.

Każdy musi dobrać sobie przy czytaniu takie tempo, które wydaje mu się najbardziej odpowiednie. Strata czasu wskutek powolności jest tylko pozorna. Cóż z tego, że chlubić się będziemy większą liczbą przeczytanych tomów, skoro niewiele z nich pamiętamy? Wielu naukowców twierdzi, że większą korzyść daje gruntowne przyswojenie sobie jednego, zasadniczego dzieła, niż powierzchowne muśnięcie różnych opracowań. Warto mieć to zalecenie na uwadze, nie traktując go jednak jako obowiązującego przykazania.

OPUSZCZANIE TEKSTU

Niekiedy rekordowy pośpiech w czytaniu jest tylko pozorny. Czytelnik właściwie nie czyta całego tekstu, lecz wybiera z niego tylko ustępy bardziej interesujące, resztę bez skrupułu pomijając. Wiele osób w taki właśnie sposób obcuje z powieścią łowiąc wątek akcji, a przeskakując nad obrazami natury, opisami osób, rozmyślaniami własnymi autora itp. Taki akrobata potrafi nawet nieźle streścić książkę, ale niewiele będzie miał do powiedzenia o jej prawdziwej wartości artystycznej.

Niewątpliwie wobec dzieł sztuki o dużej doniosłości nie warto stosować podobnej metody. Wybitni pisarze wiedzą, dlaczego zamieścili w swoich utworach poszczególne ustępy. Dopiero gdy zestawimy wszystko, co dzieło zawiera, otrzymujemy miarę jego właściwej wartości. Czytanie „na wyrywki" porównać można do oceny obrazu nie po jego dokładnym obejrzeniu, ale jedynie na podstawie konturu postaci i przedmiotów. Pozostaje wówczas w naszej świadomości coś bardzo bladego, często zupełnie niewspółmiernego z wysiłkiem artysty.

Byłoby jednak niedorzecznością utrzymywać, że każdą książkę, jaką otrzymujemy do rąk, trzeba przeczytać skrupulatnie od deski do deski. Wiele wydawnictw wyraźnie służy do tego, abyśmy mogli zajrzeć do nich od czasu do czasu dla wyszukania czegoś, co jest nam w danej chwili potrzebne, a nie do systematycznej lektury. Do tej kategorii należą wszelkie encyklopedie, słowniki rozumowane, opracowania słownikowe z różnych dziedzin wiedzy. Tak samo należy podchodzić do wielkich, na rozległą skalę zakrojonych podręczników, obejmujących niekiedy po kilkanaście czy kilkadziesiąt tomów. Służą one do tego, aby móc przestudiować we właściwej chwili stosowny dział informacji lub sprawdzić wiadomości własne.

Istnieją ponadto inne przypadki, w których nie silimy się o przyswojenie sobie pełnej treści dzieła. Pracując nad jakimś zagadnieniem, sięgać musimy do wielkiej liczby opracowań, w których interesujący nas temat poruszony został między wierszami, przygodnie czy na marginesie Chodzi o zestawienie naszych myśli ze wszystkim, co powiedziano w tej samej sprawie przedtem; wymaga tego prosta uczciwość. W takich przypadkach zaglądamy tylko do niektórych rozdziałów, czy nawet tylko ustępów. Liczą się z tym rodzajem czytania współcześni bada-

cze i dlatego wiele poważnych dzieł posiada na końcu indeksy, dotyczące nie tylko wszystkich wymienionych osób, ale i poruszonych zagadnień szczegółowych. Umiejętne korzystanie z tych indeksów daje ogromną oszczędność czasu i energii.

SŁOWNICTWO

Przy czytaniu dzieł obcych staramy się o to, aby zrozumieć każdy wyraz tekstu. Jeżeli któryś z nich jest nam nieznany, sięgamy zazwyczaj do słownika. W ten sposób wzbogaca się stopniowo nasza znajomość języka obcego. Zyskuje na tym również dokładność lektury, oczywiście kosztem tempa.

Mało kto zdaje sobie sprawę, że stykanie się się z literaturą ojczystą wymaga właściwie również stałego posługiwania się odpowiednim słownikiem czy encyklopedią. Wyrazy niezrozumiałe znajdują się nawet w takim tekście, z którym obcujemy na codzień i który wydaje się nam zupełnie zrozumiały. Złudzenie to powstaje stąd, że zadawalamy się uchwyceniem ogólnego sensu zdania, do czego zazwyczaj wystarcza znajomość większości użytych wyrazów.

Aby nie narazić się na zarzut gołosłowności, weźmy za przykład „Pana Tadeusza“. Już na początku Mickiewicz użył słów „świerzop“ i „dzięcielina“. Czy wszyscy wielbiciele epopei naszego największego poety są zupełnie pewni, co te wyrazy oznaczają? W drugiej księdze dowiadujemy się, że Tadeusz i Telimena „uderzyli się w uszaki“, tak że „obojgu sine zostały się znaki“. Stwierdziłem, że wiele osób rozumie uszaki po prostu jako „uszy“, nie rozumiejąc, a nawet nie podejrzewając, że chodzi tu o ramy, otaczające drzwi. Podobnych nieporozumień nastręcza literatura wiele, zwłaszcza jeśli chodzi o dzieła, dotyczące odległej przeszłości.

W następstwie okazuje się, że wskutek naszej bierności przy czytaniu albo niedokładnie rozumiemy obrazy i myśli autora, albo je zubożamy i zniekształcamy. Aby nie odstępować od „Pana Tadeusza“, sięgnijmy jeszcze do sławnego opisu wielkiej uczty, przygotowanej przez Wojskiego na przyjęcie gości z armii napoleońskiej. Wśród potraw wymienił poeta między innymi kontuzę, arkasy, blemasy, pomuchlę, figatelę, cybet, draganty, wyżyny, pinele, brunele. Czy pewni jesteśmy znaczenia tych określeń? Czy wiemy, że kontuza — to rosół z przetartym mięsem; arkas — to rodzaj słodkiego twarożku, blemas — galaretka migdałowa, pomuchla — dorsz, figatele — pulpety, cybet — wonna przyprawa, wyżyna czyli wizina — mięso wyża (rodzaj ryby), pinele — orzeszki limbowe, a brunele (francuskie prunelles) — śliwki suszone? Ostatecznie ponieważ chodzi o wyrazy dawniejsze, wycofane z obiegu, nieznajomość ich nie kompromituje. A jednak dopiero odcyfrowanie ich pozwala zrozumieć, że Mickiewicz patrzy na przygotowania do wielkiej uczty z uśmiechem i że celowo pomieszał nazwy, należące do różnych części obiadu, w oczywistym nieładzie. Lekceważąc wyjaśnienia słownikowe gotowiśmy zagubić humor, a to zakrawa już na wyraźne zubożenie tej promiennej jasności, jaką poeta przesycił cały poemat.

Okazuje się, że zaglądanie do słownika podczas czytania nie tylko się opłaca, ale niekiedy staje się wprost konieczne. Poza wszelkimi innymi korzyściami zapewnia ono dokładniejsze opanowanie mowy ojczystej, co powinno być naszą zbiorową ambicją. W niejednym przypadku wydawcy ułatwiają to zadanie zamieszczając bądź na poszczególnych stronach, bądź przy końcu utworu objaśnienia słownikowe. Warto z nich korzystać. Gdy tego udogodnienia nie ma, trzeba sięgnąć do wydawnictw specjalnych. Słownik języka polskiego powinien znajdować się w każdej bibliotece, czytelni i świetlicy i służyć do powszechnego użytku. Właściwie jednak jest on książką podręczną o takim znaczeniu, że każdy rozważny, inteligentny czytelnik powinien zdobyć go na własność. Niemałe usługi oddają również opracowania o zakroju specjalnym, jak słowniki i encyklopedie staropolskie, słowniki techniczne, słowniki wyrazów obcych itp.

KOMENTARZE, WSTĘPY, POSŁOWIA

Innym sposobem ułatwiania łączności czytelnika z dziełem i jego autorem jest wprowadzenie omówień, wyjaśniających myśl przewodnią utworu, jego znaczenie społeczne i narodowe, jego oddziaływanie zewnętrzne, właściwości artystyczne itp. Znajdujemy je niekiedy przed tekstem, niekiedy zaś dopiero na końcu; zdarza się również, że komentarze wewnątrz tekstu nie ograniczają się do podania znaczenia wyrazów niezwykłych, ale także rzucają światło na poszczególne zjawiska i problemy.

Spotykamy dzieła, w których komentarze pochodzą od samego twórcy. Słowacki przygotowując francuskie wydanie „Anhellego“, opracował dłuższe objaśnienia, przeznaczone dla ob-

cych czytelników, niedostatecznie wtajemniczonych w polskie stosunki. Mickiewicz zaopatrzył swoimi komentarzami zarówno „Konrada Wallenroda", jak i „Pana Tadeusza". Tego rodzaju dodatki należą właściwie do samego dzieła i dlatego wydawcy, którzy je opuszczają, postępują niesumiennie, lekceważąc wyraźnie wolę autora.

Zdarza się, że komentarze rozrastają się do niezwykłych granic i zajmują więcej miejsca, niż samo dzieło. Jest to zjawisko naturalne w opracowaniach o zakresie naukowym, przeznaczonych dla specjalistów. Ten rodzaj wydawnictw stanowi niekiedy najbardziej oszczędny sposób zapoznania się ze wszystkim, co na temat danego utworu napisano. Dla zwykłego czytelnika zbyt obfity balast objaśnień okazuje się często zbyteczny, a co gorsza, utrudnia bezpośrednie obcowanie z tekstem i zakłóca samodzielność wysiłku przy jego rozszyfrowywaniu. W czasach ostatnich pojawiły się protesty przeciwko nadmiernej wybujałości przypisów komentatorskich. Zazwyczaj przyjmuje się, że w książkach, przeznaczonych na szeroki użytek pozaszkolny, poprzestać należy na udzieleniu informacji naprawdę potrzebnych lub też szczególnie interesujących, zawsze jednak bez męczącego wielosłowia. Z tych samych względów przesuwa się komentarze ze stron początkowych na koniec tomu, — wstęp staje się posłowiem, co ma stanowić dla czytelnika zachętę, aby najpierw spróbował samodzielnej żeglugi na fali tekstu, a dopiero po jej zakończeniu zaczął doznane wrażenia porządkować i uzupełniać.

Dotychczas była mowa jedynie o komentarzach rzeczowych, podyktowanych pragnieniem lepszego zrozumienia dzieła i wyjaśnienia okoliczności, towarzyszących jego powstaniu. Zdarzają się jednak opracowania tendencyjne, służące ubocznym celom propagandowym. Zmierzają one nie do tego, aby czytelnikowi zrozumienie dzieła ułatwić, lecz do narzucenia mu gotowej interpretacji. Takie właśnie „objaśnienia" wydaje się na szeroką skalę w Kraju, gdzie pisarze i naukowcy otrzymują zlecenie, aby stosować się do obowiązującej doktryny, i są pozbawieni niezależności w swoich badaniach naukowych oraz we wszelkich wystąpieniach na zewnątrz. Przedmowy i komentarze, sporządzane w takich okolicznościach, służą raczej do tego, aby czytelnika obałamucić, niż aby dostarczyć mu potrzebnych informacji. Nawet w tych przypadkach, kiedy strona informacyjna jest opracowana starannie, czytelnikowi grozi dezorientacja, gdyż łącznie z rzeczywistymi faktami otrzymuje półprawdy, sądy tendencyjne i opinie wyraźnie fałszywe, tak że trzeba dokładnej znajomości rzeczy i bystrości krytycznej, aby wyrobić sobie słuszny pogląd na sprawę.

Do tak spreparowanych wydawnictw trzeba podchodzić z należytą ostrożnością, nie tylko ze względu na ich zakusy propagandowe — te bowiem działają raczej odstręczająco — ile z uwagi na przeinaczanie stanu rzeczywistego. Przy pewnej wprawie można mieć z nich korzyść; w każdym razie niektórych wyjaśnień sfałszować się nie da, zwłaszcza gdy chodzi o znaczenie trudniejszych wyrazów, nazw cudzoziemskich itp. W przypadku wątpliwości najlepiej zasięgnąć zdania osoby fachowej lub sięgnąć do innych dostępnych źródeł. Wiele zależy od rady i znajomości rzeczy bibliotekarza.

NOTATKI

Doświadczenie stwierdza po wielekroć, że pamięć o przeczytanych książkach szybko się zaciera. Aby temu zapobiec, warto zmusić się do systematycznego sporządzania notatek z lektury. Nie zajmują one wiele czasu, zwłaszcza gdy je steśmy jeszcze pod świeżym wrażeniem czytania, a sprawiają wiele przyjemności i okazują się bardzo użyteczne. Samo pisanie oczywiście zadowolenia wielkiego nie przynosi, ale gdy się do notatek wprawimy, przestanie nas nużyć. Za to gdy po pewnym czasie odczytujemy to, co w swoim czasie zanotowaliśmy, nie tylko przypominamy sobie treść, ale jakby odświeżamy te przeżycia, których dostarczyło zetknięcie z poszczególnymi utworami. Nad pożytkiem zaś, jaki stąd wynika, rozwodzić się nie trzeba.

Forma notatki stosuje się do rodzaju przeczytanego dzieła. W stosunku do powieści wszystko zależy od tego, co nas najwięcej poruszyło; gdy brak konceptu, wystarczą po prostu cytaty, wyróżniające się czyto głębią myśli, czy pięknym wysłowieniem, czy jakimiś innymi zaletami. Można zastosować również odmienną miarę oceny, utrwalając właśnie to, co nas drażni lub niepokoi czy nawet śmieszy. W ten sposób powstanie jakby pamiętnik, do którego miło wracać nawet po dłuższym okresie czasu, podobnie jak z przyjemnością spotykamy dawno nie widzianych znajomych.

WIECZORNICE

materiały i pomoce

JÓZEF KORZENIOWSKI

WĄSY I PERUKA

KOMEDIA W TRZECH AKTACH

OSOBY:

Pani starościna Niepołomska
Tekla, kasztelanka nakielska, jej synowica
Pani kasztelanowa Żmudzka
Pani wojewodzina Pomorska, dalekie krewne Tekli
Kasia, panna służąca kasztelanki
Pan Zamiechowski, wojewodzic bełski
Pan kasztelanic Wojnicki
Kortycelli, szambelan Jego Królewskiej Mości
Jenerał Komarzewski
Paź królewski
Jan Brzechwa, cześnikowicz stężycki i marszałek dworu wojewodzica
Maciej, szatny tegoż
Duclos, eks-fryzjer, mający magazyn strojów męskich
Kamerdyner starościny
Trzej młodzi pomocnicy Duclosa

Scena w Warszawie.

AKT I.

Pokój gościnny w domu Starościny. Drzwi wchodowe w środku, z prawej spektatorów — drzwi do pokojów Starościny, z lewej do pokojów Tekli.

SCENA PIERWSZA

TEKLA potem KAMERDYNER

(Tekla wyfryzowana, wypudrowana, w paradnej sukni owego czasu, wychodzi ze swoich drzwi i idzie wprost do zwierciadła)

TEKLA (stając przed zwierciadłem i przypatrując się swemu ubraniu) Żeby to miało być bardzo brzydko, nie, — tego nie powiem. Ale jakoś dziwnie wygląda. Prawie pierwszy raz dzisiaj jestem tak paradnie ubrana i jeszcze się ze swoją facjatą oswoić nie mogę. (Uśmiechając się i ukazując w zwierciadło). Doprawdy, gdybym nie była pewna, że to ja, to bym siebie nigdy nie poznała. (Odstępuje) Ach, Boże! Co by to na te kudły powiedziała moja babka, owa poważna matrona, dla której wszystko dawne i swoje jest tak świętym! — Co by powiedział pan Wojewodzic bełski, on, tak zakochany w stroju polskim, a któremu też w kontuszu i z wąsami tak ładnie. Doprawdy, jak o tym myślę... (Do wchodzącego Kamerdynera) Co to masz?

KAMERDYNER (w galonach, upudrowany, chaussé) List do jaśnie wielmożnej starościny od pana wojewodzica bełskiego.

TEKLA (uradowana) Ach! o wilku mowa! — Pokaż. — (Oglądając list) A tak, to do mojej ciotki! (na stronie) Do mnie zacny pan Kazimierz nie śmiał napisać. (Przypatruje się listowi)

KAMERDYNER Co jaśnie wielmożna kasztelanka każe odpowiedzieć?

TEKLA A któż to przyniósł?

KAMERDYNER (uśmiechając się ironicznie) Stary, wąsaty szlachcic, w kozłowych butach. Mówi, że jest marszałkiem dworu pana wojewodzica.

TEKLA A, pan Brzechwa, cześnikowicz stężycki! Poczciwy pan Brzechwa! Proś go tu, — chcę się z nim widzieć.

KAMERDYNER Ależ, jaśnie wielmożna kasztelanko, kozłowe buty! Jak jaśnie wielmożna starościna wróci, będzie niekontenta.

TEKLA (serio) Proś pana Brzechwę, mówię.

KAMERDYNER (na stronie) Nie posłuchajże tu jej, jak się nastawi, — oj, to będzie! (Chciał się poskrobać w głowę, ale zmiarkowawszy się, zdmuchuje puder z palców) Zapomniałem, do diabła, że tam mąka na łbie.

TEKLA (surowiej) Czemuż nie idziesz?

KAMERDYNER A idę! (Odchodząc) Ale trzeba będzie cały dom wykadzić po kozłowych butach. (Wychodzi)

TEKLA (sama) Ciekawa jestem, co też pan Brzechwa powie, jak mię tak obaczy. Doprawdy,

że mi trochę wstyd, a i śmiech mię bierze, gdy pomyślę, jak się stary, zakamieniały szlachcic zadziwi, a może i zgorszy. Kiedyż bo wszyscy tak na mnie wsiedli: „A przebierz się, przebierz się — daj się ufryzować — będzie ci ślicznie". — Pozwoliłam, choć nie nie bardzo lubię, żeby mię kto wodził na pasku. I teraz... (Patrzy w zwierciadło) Niebrzydko to, ale...

SCENA DRUGA

TEKLA, BRZECHWA

BRZECHWA (wchodzi i kłania się) Ścielę się do stópek... (Tekla się obraca — on podnosi głowę, cofa się parę kroków i zatrzymuje się)

TEKLA (przystępuje śmiejąc się) Jak się masz, panie Brzechwa? — cóż to, nie poznałeś mnie, żeś się tak zastanowił?

BRZECHWA (zakłopotany) Przyznaję się, że jaśnie wielmożna kasztelanka dobrodzika inaczej jakoś wyglądałaś, gdym miał szczęście widywać ją w domu jaśnie wielmożnej podskarbiny koronnej, babki jaśnie wielmożnej pani, mosanie.

TEKLA Cóż? Wydawałam ci się młodszą? Nieprawdaż?

BRZECHWA (kłaniając się) Młodszą, niemłodszą, boć to ledwo trzeci miesiąc upływa, jakeśmy z moim panem gościli w domu jaśnie wielmożnej podskarbiny. Ale wówczas miałem szczęście widzieć jaśnie wielmożną kasztelankę hożą, rumianą, z ciemnymi i błyszczącymi warkoczami, mosanie! Byłaś, jaśnie wielmożna pani, jeśli się tak wyrazić ośmielę, prawdziwą naszą dziewicą, kwitnącą jak mak polny, wysmukłą jak lilia ogrodowa.

TEKLA (krygując się przed nim) A teraz jestem sztywną jak lalka gdańska, a wypudrowaną jak Niemiec, nieprawdaż, panie Brzechwa? — (serio) Cóż robić! Zmieniamy się, okrzesujemy się!

BRZECHWA (z westchnieniem) Ach, to prawda, jaśnie wielmożna kasztelanko, że nas okrzesują, a i my też tym ichmość cieślom dopomagamy sami. Jeżeli to okrzesywanie tak dalej pójdzie, to nie daj Boże — z tego niegdyś grubszego pnia zostanie tylko kijek, mosanie, z którym pójdziemy z torbami.

TEKLA Nie smuć się tak, panie Brzechwa! Nie wszystko tak jest źle, jak pozór okazuje, — przynajmniej we mnie. Pod tym pudrem są te same włosy, które kiedyś w kosę długą były splecione, a pod tym gorsetem... (Zatrzymuje się zamawiając) Ale dawno przyjechaliście?

BRZECHWA Pozawczoraj, jaśnie wielmożna kasztelanko! Nimeśmy się jednak ulokowali, nim bryki nasze nadciągnęły, nim mój kochany wojewidzic zebrał się na napisanie tego listu do jaśnie wielmożnej starościny, których nota bene zdarł kilka, zeszedł dzień wczorajszy. Tak więc dziś dopiero przychodzę z tym pisaniem, w którym pan mój zapytuje zapewne, czy będzie mógł złożyć swoją submisję jaśnie wielmożnej starościnie i schylić się do stópek jaśnie wielmożnej kasztelanki dobrodziki. Pewny jestem, że tam wygląda mię tak, jak wyglądał wówczas, kiedym po niego do Collegium Nobilium, mosanie, przyjeżdżał, żeby go zabrać na wakacje. (z uśmiechem) Bo jużci to i jaśnie wielmożnej kasztelance nie tajno...

TEKLA (przerywając) Mojej ciotki nie ma w domu, a to list do niej. Nie wiem więc, co ci, panie Brzechwa, odpowiedzieć. Sądzę jednak, że tu jakie ceremonie niepotrzebne i że pan wojewodzic najdalej za godzinę może przybyć do nas i zapewne już moją dobrą ciotkę zastanie. Pan tak życzliwy całej naszej rodzinie, którego ojca ojciec mój był przyjacielem, którego babka moja tyle szacuje, może być pewnym uprzejmego przyjęcia. Ja przynajmniej... (Zatrzymuje się i zmieniając ton żywiej i weselej mówi) Ale jakże ci się wydała teraz nasza Warszawa, panie Brzechwa?

BRZECHWA A cóż, jaśnie wielmożna kasztelanko, miasto jak miasto; mury znajome, niewiele co nowego przybyło. Turkotu tu, prawda, niemało po nowym bruku, co go jaśnie wielmożny marszałek Bieliński przez Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat przeprowadził, krętaniny wiele, gadaniny jeszcze więcej, ale staremu szlachcicowi, mosanie, co bywał na sejmikach i sejmach, na zjazdach i trybunałach, rzecz to nie nowa i niewiele go zastanawia.

TEKLA Więc od tego czasu, jakeś, panie Brzechwa, przywoził pana wojewodzica do Collegium Nobilium, nic się nie zmieniło?

BRZECHWA A, tego nie powiem, jaśnie wielmożna kasztelanko! Są rzeczy takie, na które człek patrząc przeciera oczy i pyta się siebie, czy mu się, mosanie, nie śni. I tak, exempli gratia, dawniej spotykały się na ulicach żupany, białe czapki, a pod nimi wygolone czupryny, ale spotykały się i piechotą, i konno, i w powozach. Dziś zdarza się, prawda, często gęsto i kontusz, ale ten, mosanie, zakasawszy się, drypcze pieszo po błocie. Co się zaś nawinie jaka kareta, człek chciwie patrzy, kto też w niej siedzi. Spodziewa się, mosanie, obaczyć jakie senatorskie oblicze, jaką z tych twarzy, które w młodszych latach nauczył się szanować i jakie to jaśnieją jeszcze na ścianach w domu jaśnie wielmożnej podskarbiny, babki jaśnie wielmożnej pani. Ale gdzie tam, wcale co innego! (Zbliża się filuternie i mówi ciszej) Oto, z przeproszeniem jaśnie wielmożnej kasztelanki, z tych karet wyglądają najczęściej pudle. (Tekla się śmieje) A! Jaśnie wielmożna pani śmiejesz się, a toć to jest, co

mię najwięcej w Warszawie zastanawia, że te niemieckie psiaki do takiego tu dostojeństwa przyszły, że poszóstnie jeżdżą i na jedwabiach i za szkłami się rozpierają.
TEKLA O, panie Brzechwa! Jakże sobie z nas żartujesz. Nie uważasz, że i ja trochę jak pudliczka wyglądam!
BRZECHWA (gładząc czuprynę) Jaśnie wielmożna kasztelanko, to się mówi salvis praesentibus. Zresztą kobiecie we wszystkim ładnie. Ale dla mężczyzny, dla poważnego obywatela, dla wysokiego dygnitarza taki tylko puder przystoi, mosanie, którym ksiądz we wstępną środę grzeszną głowę posypuje. Każdy inszy, z przeproszeniem jaśnie wielmożnej kasztelanki, widzi się mnie staremu, jakoby był błazeństwem. Ale dać pokój temu lichu, co nas opętało, i lepiej się z niego pośmiać, niż sobie krwi napsuć. Dziękuję tylko Panu Bogu, że memu panu Kazimierzowi, któregom wyniańczył i na prawdziwego syna tej ziemi wyhuśtał, nic jeszcze podobnego do głowy nie przyszło. W takim razie już bym się, mosanie, nie śmiał i nie żartował.
TEKLA A cóż byś zrobił, panie Brzechwa? — Bo to bardzo być może. Moda to choroba zaraźliwa i potężna. Masz przykład na mnie.
BRZECHWA Wówczas płakałbym, jaśnie wielmożna kasztelanko, a potem kazałbym się oddać do czubków, aby i mnie to modne licho nie opętało. I wtedy byłbym przynajmniej pewnym, że pójdę w grób ze łbem ogolonym, jak na szlachcica przystało, i nie obcięty tak kuso jak Niemczyk. Ale ścielę się tymczasem do stópek jaśnie wielmożnej kasztelanki, mosanie, i pośpieszę uwiadomić mojego pana...
TEKLA (przerywając) Idź, idź, panie Brzechwa, i powiedz panu wojewodzicowi, że... że... (zatrzymuje się, spuszczając oczy — Brzechwa czeka i patrzy na nią z uśmiechem, gładząc wąsy) — że moja ciotka będzie mu bardzo, bardzo rada.
BRZECHWA Rozumiem — i dziękuję jaśnie wielmożnej pani, mosanie, imieniem mojego pana. (Kłania się i wychodzi)
TEKLA (sama) Z cicha pęk stary! Domyślił się podobno, żem co innego powiedzieć chciała. Bo czy moja ciotka będzie mu tak bardzo rada, tego jeszcze nie wiem, ale że ja będę serdecznie kontenta, jak go zobaczę, to podobno wielka prawda. Ach, ta moja ciotka! — Wprawdzie ona dobra, wesoła, kocha mnie i niby jak młodszą siostrę traktuje, ale kontusz i czupryna razi ją niemiłosiernie. (Zamyśla się) Gotowa się sprzeciwić moim związkom z panem wojewodzicem, gotowa się uprzeć i wszystkich wyperukowanych stryjów i wujów przeciwko mnie zbuntować. (Podnosi głowę) Ale czy to i ja nie mogę się uprzeć także? O, kiedy kto ma dwadzieścia dwa lat, to pora, aby miał swój własny rozum i swoją własną wolę. Ustąpiłam im, żem się pozwoliła ufryzować i pudrem przysypać. Niechże przestają na tym. — Pana wojewodzica bełskiego nie ustąpię nikomu. Ale co on biedny sobie pomyśli, jak mię taką kudłatą obaczy? (Staje przed zwierciadłem i poprawia sobie włosy, na to wchodzi z głównych drzwi starościna i przypatruje się jej z uśmiechem).

SCENA TRZECIA

STAROŚCINA, TEKLA, przy końcu KAMERDYNER

STAROŚCINA (bardzo strojnie ubrana, bijąc wachlarzem po dłoni) Brawo! Bravissimo! Tak to lubię.
TEKLA Ach, kochana ciociu! Nie postrzegłam!
STAROŚCINA (ukazując jej zwierciadło) Przyznajże sama, czyś mi nie wdzięczna, żem cię skłoniła do przebrania się po ludzku, po europejsku, jak przystoi i twojemu urodzeniu, i twoim wdziękom.
TEKLA O, moja ciociu! Już ja to widzę, że ze mnie porządne czupiradło.
STAROŚCINA Mais vous êtes belle, ma chère — ślicznaś, jak anioł.
TEKLA Gdybym gdzie obaczyła upudrowanego anioła, to może bym uwierzyła, że sobie ciocia ze mnie nie żartuje.
STAROŚCINA Ale nie żartuję, wcale nie żartuję. Jaka cudna fryzura! Jaś przeszedł dziś samego siebie. Muszę to powiedzieć Trembeckiemu, qui l'a mis en vogue. A jaka talia! Vraiment, vous êtes en beauté aujord'hui. Zakasujesz wszystkie. Nawet ja będę musiała pójść w kąt przy tobie. Jaka to ze mnie poczciwa i kochająca ciotka, że o sobie nie myślę, byleś tylko ty tryumfowała. Niejedna matka nie zdobyłaby się na taką wspaniałość; (patrzy w zwierciadło) ne suis-je pas généreuse? dites donc!
TEKLA Wiesz dobrze, kochana ciociu, że się żadnej rywalizacji nie boisz, a ja żadnych tryumfów nie pragnę. Czegom chciała dokazać, tegom dokazała i bez tych strojów, i bez fryzury.
STAROŚCINA Więc ci zawsze ten wojewodzic w głowie? Zawsze ci marzy się ten kontusz, błyszczy przed oczyma wygolona głowa? Fe, moje życie, co za parafiaństwo! Już te posuwiste konkury, chociaż je babka twoja aprobuje, powinny ci były wywietrzyć z myśli, gdyś się obejrzała po naszym świecie i przypatrzyła się naszym świetnym elegantom.
TEKLA Przepraszam cię, moja ciociu, alem ja zawsze parafianka, choć pozwoliłam się wysznurować tak, że ledwie oddycham, i nasypać sobie na głowę tyle mąki, że byłoby z czego upiec bułeczkę do kawy.

STAROŚCINA (śmiejąc się) Quelle drôle d'idée! Ale odejdzie ci to, odejdzie, jak się jeszcze lepiej przypatrzysz. Zapomnisz pewnie tego wąsatego Adonisa, któremu teraz co innego w głowie.

TEKLA (z ciekawością) A cóż mu teraz w głowie? Czy mogę wiedzieć?

STAROŚCINA (prowadzi ją na przód sceny) Imaginez, dowiedziałam się w tych dniach, że się stara wszelkimi siłami o wakującą kasztelanię wieluńską i ma silnych protektorów. Książę jenerał jest za nim, dla jakiejściś koligacji jego podobno z panią Dębowską. Pan Komarzewski go popiera, i ksiądz biskup Cieciszowski, koadiutor kijowski, którego król tak bardzo szanuje, także około tego chodzi. Ty musisz zapewne wiedzieć, skąd ten zapał jego w staraniu się o krzesło?

TEKLA (filuternie) A wiem, droga ciociu! Mojej kochanej babce uroiło się nie wydać mię, tylko za senatora. Ale jakże mu się wiedzie w tych staraniach? Bo mię to bardzo interesuje.

STAROŚCINA (ruszając ramionami) Ach, wątpię, żeby mu te jego protekcje pomogły. Jest jedna wielka przeszkoda.

TEKLA Jakaż to, proszę cioci?

STAROŚCINA Ta, że król jegomość objawił niedawno postanowienie, że odtąd żadnemu kontuszowi senatorskiej godności konferować nie będzie.

TEKLA Czy to być może? To jakaś ploteczka fryzowanej koterii, która sobie pochlebia, że to będzie wspanialej i poważniej, jeżeli w senacie będą tylko same fryzury. Ale, moja ciociu, jeżeli przebranie się pana wojewodzica kładziesz za warunek mojego szczęścia, to mnie wykierujesz na starą pannę, bo on tego pewnie nie zrobi.

STAROŚCINA Kto to wie, czy zrobi, czy nie? — Taka partia jak ty i kasztelania wieluńska, i łaska królewska, wszystko to są rzeczy, które mogą zachwiać sarmatyzmem twego Celadona w żółtych butach. Zresztą — et ceci est sérieux — wiesz dobrze, że twój stryj, który jest opiekunem twojej fortuny, znieść nie może żupana i za nic na świecie nie dopuści cię do ołtarza z pałką wygoloną. Mój brat pragnie twego szczęścia, a widzi szczęście tylko w polorze i w tych obyczajach, którymi nas Francja obdarza. I ma rację, takie jest i moje przekonanie. Ale co to o tym tyle mówić, kiedy twój pan wojewodzic więcej podobno zajęty gospodarstwem i nadzieją kasztelanii niż tobą. Gdyby cię kochał, tak jak cię pan kasztelanic ubóstwia, to by tu był i starałby się i mnie przypodobać, jeżeli już serca twego tak pewny. Ale jemu to widać nie w głowie. Oni nie umieją kochać, ci kontuszowi sejmikowicze.

TEKLA I w tym mylisz się, droga ciociu! Właśnie że pan wojewodzic tu jest, i oto list od niego do ciebie. (Bierze list ze stołu i oddaje)

STAROŚCINA (biorąc) A, list od niego? Cóż on może pisać? (Z ironią) Zapewne prosi o pozwolenie złożenia mi swojej submisji i wynurzenia swoich afektów dla siebie. Pauvre nièce, jak mi ciebie żal!

TEKLA (z uśmiechem) Ale niech już ciocia przeczyta.

STAROŚCINA (siadając) Cóż mam robić! Pour l'amour de vous muszę, chociaż to pewnie po polsku. Dałam sobie słowo, że tylko od mego ekonoma listy polskie czytać będę, ale ty chcesz, il faut que je me résigne. (Odpieczętowuje i patrzy na intytulację i podpis) — „Jaśnie wielmożna starościno dobrodziko! Najniższy sługa etc. etc." — (Mówi) Il ne manque rien, ani „Dobrodziki", ani „Najniższego sługi". — Nie rozumiem, jak można kochać człowieka, qui vous traite en „Dobrodzika" i jest twoim podnóżkiem. (Czyta) „Przybywszy do Warszawy, mam sobie za najpierwszy obowiązek prosić jaśnie wielmożną panią, abyś mi pozwoliła złożyć sobie uszanowanie i wesprzeć mnie raczyła w zamiarach sercu memu najdroższych i całą myśl moją zajmujących. Pochlebiam sobie, że jaśnie wielmożna pani wiesz, o czym tu mówię, i że wierzysz całemu szacunkowi i czci, z jakimi jestem dla jej domu i jej osoby. — Najniższy sługa, — Kazimierz Zamiechowski". — Mais ce n'est pas si mal tourné!

TEKLA A widzi ciocia, że nie ma ani submisji, ani afektów?

STAROŚCINA Styl trochę pijarski, ale przynajmniej krótko. Szkoda, że to nie po francusku, wyglądałoby wcale inaczej. Cóż? Czy odpowiedziałaś co?

TEKLA Cóż mogłam odpowiedzieć, nie wiedząc, co jest w liście. (Całuje ją) Ale ciocia daruje żem prosiła pana wojewodzica, aby tu przyszedł.

STAROŚCINA Ecoutez, ma chère — usiądź, e causons sérieusement. (Tekla siada, a Starościna mówi dalej) Najprzód powiedz mi, czy wierzysz temu, że ja cię kocham szczerze i serdecznie?

TEKLA (ściska jej rękę) O moja droga ciociu! Czyż mogę o tym wątpić?

STAROŚCINA Możesz mi powiedzieć, że nie dosyć kochać, trzeba umieć kochać tak, żeby przywiązanie to było ze szczęściem osoby, którą się kocha. Nieprawdaż?

TEKLA O prawda, moja ciociu! Czasem miłość gorsza jest od nienawiści.

STAROŚCINA Jeżeli egoistyczna, jeżeli ma na celu tylko próżność, tylko ambicję i tym podobne zdrożności. Moja wcale nie taka. I chociaż jestem kobietą światową, chociaż mam sobie moje małe cele i celiki, bo jużci nie jestem takim potworem, żebym ich mieć nie mogła... Nieprawdaż?

TEKLA Któż nie wie, moja ciociu, że należysz do najładniejszych kobiet w Warszawie?

STAROŚCINA Do najładniejszych nie, — ale tak sobie, do bardzo niebrzydkich — a mimo to jestem bezinteresowna, niezazdrosna i tyle do ciebie przy-

wiązana, żebym chciała, abyś u nas jaśnieć mogła obok mnie, — rozumie się, choćby nawet mnie przygasić.

TEKLA Co też mówisz, kochana ciociu! Ja, parafianka?

STAROŚCINA Mais belle, belle comme un coeur. Obaczysz, jak się pokażesz taką, jaką dziś jesteś, co ludzie powiedzą. Dlatego to wolałabym cię widzieć żoną kasztelanica, niż żoną wojewodzica. Kasztelanic zostanie przy dworze, gdzie ma obiecaną szambelanię, a ty byłabyś gwiazdą, w którą by się wszystko wpatrywało i pani krajczyna spuściłaby swój ładny nosek na kwintę, i tyle innych, którym się może dziś śnią rozmaite tryumfy, rozbudziłyby się z tych słodkich marzeń i ustąpiłyby się przed nami.

TEKLA Wszystko to nie dla mnie, droga ciociu! Ja jestem domatorką. Dla mnie wieś i pokój domowy mają największy powab.

STAROŚCINA Vous me désespérez, ma chère. Gardzisz tym, czego nie znasz. Jak zakosztujesz tego życia, pełnego powabu, pełnego dystynkcji, gdy cię raz odurzy oklask najlepszego towarzystwa, obaczysz, jak polubisz hołdy naszych panów, pełnych edukacji, tak ogładzonych, tak wykwintnych w swoich gustach, i którym przodkuje któż? Król, najpiękniejszy ze wszystkich, najmilszy ze wszystkich i w którego ręku są łaski i dostojeństwa dla męża i krewnych. O, wierz mi, to są rzeczy powabne — a twój jeden uśmiech...

TEKLA (serio) Moja dobra babka uczyła mnie, żem powinna być piękna tylko dla męża i starać się tylko o jego hołd i szacunek.

STAROŚCINA C'est fort joli en théorie — ale żadna ładna kobieta tego nie robi, wierz mi, chyba zamknięta gdzie ze swoim Sarmatą na wsi, gdzie żywej duszy nie widzi. Otóż właśnie dlatego nie chciałabym cię wydać za pana wojewodzica. Choć wiem dowodnie, że to człowiek stateczny, bogaty, że jest sobie tak po dawnemu nieźle nawet wychowany i nabył tyle poloru, ile u Pijarów mógł go nabyć. Ale to zawsze figura starej daty i jeszcze nie przerodzona. On cię wywiezie z Warszawy, osadzi w swoim dworze i zanudzi cię, pauvre petite, jak to oni umieją, rozpowiadaniem o sejmikach, o trybunale i o polowaniu. A jeśli czasem na świętą Teklę zbierze gromadkę kontuszową, to się wszyscy popiją, rozkrzyczą ci uszy rubasznymi komplementami i wysmokczą ci ręce tak, że ich potem niczym nie odmyjesz. A nareszcie twój pan mąż, jak sobie z bracią szlachecką podochoci, to ci zdejmie z nogi trzewiczek i wszyscy koleją wychylą z niego twoje zdrowie. I daj Boże, aby się na tym skończyło. Od zalanej pałki będziesz mogła doznać i tej starożytnej czci, której biedne nasze babki i prababki poddawać się musiały. Żeby ci dowieść, jak cię kocha, twój pijany Adonis postawi cię na stole i odstrzeli korek od twego trzewika z pistoletu. — Cela me fait frémir! Czyżeś do takich hołdów stworzona?

TEKLA Wszystko to już przeszło, moja ciociu! Takich nadużyć już nie ma. A choćby jeszcze i były, to tylko tam, gdzie kieliszek jest królem i wyrazem wszelkiej serdeczności. Wojewodzic wprawdzie lubi wieś, ale wiem dobrze, że nie lubi wina i pije go bardzo mało.

STROŚCINA To po cóż nosi kontusz? Niech go zdejmie! Qu'il soit un homme comme il faut i z pozoru, jeżeli jest nim w istocie. Ecoutez, ma chère, wiesz dobrze, że mój brat może dysponować twoją ręką. Jako człowiek nieżonaty, umieścił cię u mnie i zlał na mnie swoje prawa i staranie w wyszukaniu ci męża. Otóż ja nie chcę ci robić gwałtu. Wiem z doświadczenia, co to jest żyć z człowiekiem, którego się nie kocha. Nie myślę więc stanowić o tobie bez ciebie. Ale zróbmy ugodę jako dobre siostry, jak kochające przyjaciółki.

TEKLA Jakąż to, moja ciociu?

STAROŚCINA Masz dwóch konkurentów. Jednego ja wolę, drugiego ty wolisz. Czy tak?

TEKLA Tak, moja ciociu.

STAROŚCINA Wybrać jednego z nich i ja mam prawo, wespół z twoim stryjem, i ty także masz prawo przyjąć lub odrzucić nasz wybór, jako ta, o którą tu najwięcej idzie. Nie tak-że?

TEKLA Zdaje się, że tak, moja ciociu, tym bardziej, że mam dwadzieścia dwa lata.

STAROŚCINA Otóż w moich i w oczach twojego stryja wojewodzic ma tę główną wadę, że zarzuca wyloty, podkręca wąsy, gładzi czupryne i trąci kozłowymi butami.

TEKLA (z uśmiechem) W moich zaś oczach kasztelanic ma tę wadę, że się pół dnia fryzuje, że nosi koronkowe żaboty, że ciągle mówi po francusku i że pachnie jaśminem, którego nie lubię.

STAROŚCINA (przysuwając się) Posłuchaj więc. Rzecz o to idzie, aby obaj współubiegający się byli sobie równi.

TEKLA Tego trudno dokazać, moja ciociu!

STAROŚCINA Także mało ufasz moim dyplomatycznym talentom? Poza tym jestem uparta. Co sobie postanowię, to przeprowadzę, coûte que coûte. Tylko mi nie przeszkadzaj i czekaj rezultatu moich działań.

TEKLA Jakiż to będzie rezultat?

STAROŚCINA (na wpół żartem) Oto ten, że wojewodzic wkrótce wystąpi w peruce, w aksamitnym fraku, w jedwabnych pończochach, w lakierowanych trzewikach, z czerwonymi korkami, a kasztelanic będzie mówił ciągle po polsku, odrzuci koron-

kowe żaboty i nie wyperfumuje się jaśminem.

TEKLA (śmiejąc się) A, moja ciociu, zanadto sobie ufasz!

STAROŚCINA Toteż ryzykuję moją powagę i prawo wybrania ci męża, bo jeżeli w tym wielkim dziele upadnę i wojewodzic zostanie przy kontuszu i wąsach, a kasztelanic przy francuszczyźnie i perfumach, wtedy zrzekam się moich praw opiekunki i ty wybieraj sobie, kogo ci się będzie podobało, a ja obowiązuję się skłonić mojego brata, że swojego veto nie położy. (Wyciąga do niej rękę) Zgoda?

TEKLA (podając rękę) Zgoda, moja ciociu! Będziesz miała zabawkę na kilkanaście godzin, która, jak wszystkie zabawki, skończy się zawodem, bo tak pewna jestem przywiązania wojewodzica do starego i poważnego stroju naszych przodków, a skłonności kasztelanica do mody, że ani jedno, ani drugie ci się nie uda. Ale pozwól mi tu jeden jeszcze położyć warunek.

STAROŚCINA Jakiż to?

TEKLA Oto ten, że we wszystkich twoich argumentach o mnie nie będzie żadnej wzmianki. Żadnemu z tych panów nie powiesz, że ja tego żądam.

STAROŚCINA Ale i ty nawzajem nie zachęcisz uporu wojewodzica, dawszy mu poznać, jakie tego skutki.

TEKLA To się rozumie. Gdyby tylko dla otrzymania mojej ręki został przy kontuszu, straciłby na moim szacunku i nie miałby w moich oczach żadnej zasługi. Ja ci więcej obiecuję, moja ciociu. Dam mu nawet poznać delikatnie, gdy się zdarzy sposobność, że nie mam wstrętu do peruki i pudru, ponieważ sama zmączyłam sobie głowę.

STAROŚCINA (całując ją w głowę) Vous ètes charmante. Merci, ma chère! Więcej mi z twojej strony nie trzeba. Propaganda tak użyteczna sprawie cywilizacji i tak miła królowi uda się kompletnie. Ja zyskam uśmiech najjaśniejszego pana, że choć jedną wygoloną głowę pokryję peruką, a i wojewodzic na tym nie straci. Au pis aller zostanie mu zawsze krzesło w senacie, gdyż wówczas wszystkich moich wpływów użyję, aby je dostał. (Kamerdyner wchodzi)

KAMERDYNER Pan szambelan Kortycelli.

STAROŚCINA Ach, kochany garbusek! Bardzo mi teraz potrzebny. Proś go! (Kamerdyner wychodzi) Bądźże dla niego grzeczną, moje życie! To człeczek potężny, choć mały.

TEKLA Czy to ten, co tak dobrze poprowadził interes o sól z Wieliczki?

STAROŚCINA (poglądając ku drzwiom) Pst! Est-ce qu'on parle de ces choses-là? — Lepiej część Rzeczypospolitej ustąpić, niż się o nią bić! To jest zasada naszego króla, i Kortycelli, znając jego spokojne usposobienie, stosownie widać działał. Ale dajmy, że mu się z Wieliczką nie udało — skąd inąd jest to człowiek niezmiernie zręczny. Wszystkie nasze piękności kaptują go i chciałyby się poddać jego kierunkowi. Interwencja jego nadzwyczaj użyteczna. Obaczysz to sama, jak się rozpatrzysz w naszym towarzystwie i zaczniesz bywać u dworu.

SCENA CZWARTA

STAROŚCINA, TEKLA, KORTYCELLI, później KAMERDYNER

KORTYCELLI (trochę garbaty i przekrzywiony, zresztą wyelegantowany, wchodzi prędko z bilecikiem w ręku) Zatrzymałem się w przedpokoju pani starościny i tu musiałem załatwić une petite correspondence. Liścik księżnej podkanclerzyny litewskiej aż tu mnie dopędził. Pardon, mille pardons, madame, że wpadam tylko na króciutki momencik. Głowa mi pęka, doprawdy, tak jestem zaaferowany.

STAROŚCINA (podają mu rękę) Wiem, wiem, szambelanie, że nie tylko król cię obarcza interesami, ale i my, biedne grzesznice, mamy zawsze do ciebie jakiś sekrecik. Któż ci winien, żeś taki dobry i słuchasz nas?

KORTYCELLI Le moyen de vous dèsobèir, mesdames? A przecież muszę się pani przyznać do jednego grzechu. Dziś, gdyby nie wyraźny rozkaz najjaśniejszego pana, który kazał mi widzieć panią i zdać sobie sprawę de votre précieuse santé, byłbym minął drzwi pani z bólem serca, to prawda, ale z konieczności, tellement je suis pressé.

STAROŚCINA (uradowana) O, jakżem wdzięczna najjaśniejszemu panu! Będę miała sposobność dziś jeszcze podziękować mu za jego dobroć. Ale usiądźże szambelanie!

KORTYCELLI Pardon! Pardon! Nie mam czasu. Biegnę dalej widząc, że tylko pocieszającą wiadomość odniosę królowi jegomości, (patrząc na Teklę) car vraiment vous êtes belle comme le jour.

STAROŚCINA Méchant! Mówisz mi komplement, i patrzysz gdzie indziej. Ale nie mam ci za złe. Oko takiego konesera, jak ty, nie mogło się na niej nie zastanowić. Jest to właściwie moja synowica, panna kasztelanka nakielska, o której ci mówiłam, szambelanie.

KORTYCELLI Oh, nie tylko pani mi mówiłaś de cet astre, qui va nous éclairer. (Kłania się z uniżonością Tekli, która mu zimny ukłon oddaje) Słyszałem już z wielu ust o tym blasku, który nas ma otoczyć! Ale ma rację pewny filozof, który powiedział, że o słońcu tylko ten może sądzić, kto miał szczęście na nie spojrzeć.

TEKLA Dziękuję panu szambelanowi, żeś mnie tak prędko awansował z gwiazdy na słońce.

KORTYCELLI Wszystkie gwiazdy są słońcami, piękna pani. Już d'Alembert tego dowiódł. Różnicę stanowi tylko oddalenie. Pani się do nas zbliżasz, a zatem usprawiedliwiasz wyrażenie, którego użył.

STAROŚCINA N'est-ce pas, comme ce costume lui va?

KORTYCELLI Charmant! magnifique!

STAROŚCINA Wyobraźże sobie, szambelanie, żem ją ledwie skłoniła do odrzucenia tej sarmackiej prostoty, w której była zakochana.

KORTYCELLI Stawię sto przeciw jednemu, że już pani do polskiego kubraczka nie wrócisz, gdy się tak raz pokażesz między nami i obaczysz we wszystkich oczach admirację i hołd należący jej nieporównanym wdziękom. (Tekla rusza ramionami i odwraca się)

STAROŚCINA Właśnie dziś jadę z nią na podwieczorek do pani hetmanowej, gdzie będę miała szczęście zaprezentować ją najjaśniejszemu panu. Wszak król tam będzie?

KORTYCELLI Będzie, za to ręczę. Il ne manquera pas, gdy go uprzedzę i powinszuję wprzód siurpryzy, jaka go tam spotka.

STAROŚCINA Osądźże, szambelanie, jaka to ze mnie nieoceniona krewna, że się nie waham stanąć przy niej.

KORTYCELLI O, nie masz pani czego się obawiać! Deux soleils ne s'éclipsent pas.

STAROŚCINA (na stronie) Ile to zawsze rozumu w tych garbusach!

TEKLA (na stronie) O mój Boże, co to za świat!

STAROŚCINA (głośno) Nieprawdaż, szambelanie, że mam rację nie pozwalać, aby taki brylant dostał się kontuszowi?

KORTYCELLI Albożby co podobnego stać się mogło? Fi donc! wszyscy, ile nas tu jest, sprzeciwimy się temu. A propos kontusza, powiem pani, co się stało wczoraj na pokojach. Tłum był wielki. Między innymi książę Panie Kochanku zjawił się inopinément. Wszyscy myśleli, że po ekscesach konfederacji barskiej będzie skromniejszym. Pas du tout, il est plus arrogant que jamais. Nim król wszedł, stał za wojewodą wileńskim ksiądz biskup płocki, koadiutor krakowski, i z kimściś rozmawiał. Imaginez, madame, że ten barbarzyniec, niby niechcący, zarzucał wyloty tak, że jednym i drugim rękawem bił po głowie brata królewskiego.

STAROŚCINA Co za grubiaństwo!

KORTYCELLI Król dowiedział się o tym jeszcze wczoraj i wstręt jego do tej azjatyckiej sukmany powiększył się jeszcze bardziej. — Mówił mi o tym z goryczą.

STAROŚCINA (do Tekli) Voyez-vous? (Do szambelana) Aprobujemy całym sercem ten wstręt króla jegomości i popieramy jego chęci przerobienia naszych obyczajów wszelkimi siłami.

KORTYCELLI (z powagą) Najjaśniejszy pan polega też na wpływie pięknych pań i współdziałaniu ich w tej ważnej sprawie. I potomność będzie sprawiedliwą. Porówna go ona z jednym z poprzedników jego. Jak Kazimierz Wielkj zastał Polskę drewnianą, a zostawił murowaną, tak powiedzą kiedyś, że Stanisław August zastał Polskę wygoloną, a ufryzowaną zostawił! Vous aurez aussi votre part, mesdames, w należeniu do tak wielkiej chwały. Ale zagadałem się, a czas ucieka. Lecz jakże się tu nie zapomnieć? A l'honneur de vous revoir, mesdames. (Kłania się i chce iść)

STAROŚCINA (idąc za nim) Jeszcze słówko, szambelanie! Muszę ci się pochwalić, że zamyślam czynnie należeć do krucjaty przeciwkontuszowej. Mam do tego dobrą sposobność. Przybył tu jeden wojewodzic, un homme de naissance, przystojny, bogaty, ale jeszcze z czupryną. Postanowiłam go przebrać i dokażę tego. Nie możesz mi, szambelanie, zarekomendować jakiego magazynu waszych męskich elegancji, un fournisseur d'habits?

KORTYCELLI Mais comment, madame! Celui de Duclos, naprzeciwko Bernardynów. Jest to kompania ludzi z gustem. Należy do niej między innymi Brunet, kamerdyner królewski, a podobno i pan starosta piaseczyński ma tam udział. To warto widzieć. Wyobraź sobie pani, że tam jest wszystko: bielizna, żaboty koronkowe, halsztuchy najdelikatniejsze, jedwabne pończochy, przepyszne kamizelki, aksamitne fraki, glansowane jak lustro trzewiki, bombonierki, breloki, najcudniejsze szpady i kapelusze, zadziwiające peruki, puder godny głowy naszego grand-maitre'a, słowem, wszystko, wszystko. Można z ulicy wziąć pierwszego lepszego szlachcica, w żupanie i w kontuszu, wpuścić go tam, a w godzinę, jakby uderzeniem czarodziejskiej laseczki, wyjdzie elegant, który by się mógł w Wersalu pokazać. Ten Duclos jest mistrzem swojej sztuki. To w swoim rodzaju drugi Tremo. Możesz tam pani zaadresować śmiało swego kontuszowego kandydata. W mgnieniu oka zrobią z niego un cavalier accompli, wycywilizują go, ułożą, dadzą mu kształty i ruchy, z którymi będzie mógł pokazać się w najlepszej kompanii. (Kamerdyner wchodzi)

KAMERDYNER Pan wojewodzic bełski.

TEKLA (mimowoli) Ach!

KORTYCELLI (spojrzawszy na nią) Est-ce l'homme en question?

STAROŚCINA (ze znaczeniem) Właśnie ten, szambelanie. Obaczysz, co to za materiał. (Do Kamerdynera) Proś pana wojewodzica! (Kamerdyner wychodzi)

KORTYCELLI Widziałem go, zdaje mi się w Krakowie. C'est un bloc de marbre, magnifique, trzeba tylko ręki snycerza. Mais je m'aperçois, que je deviens bavard. Mes respects, mesdames. Uwiadomię najjaśniejszego pana o tym wszystkim, co widziałem.

STAROŚCINA Do widzenia, kochany szambelanie! Przyjdź do mnie jutro na obiad. Może obaczysz już skutek moich usiłowań.

KORTYCELLI (cofając się) Je ne manquerai pas, jeżeli mnie gdzie nie zasekwestrują. (Kłanie się i zwraca raptem ku drzwiom. W tejże chwili, we

drzwiach otwartych pokazuje się Wojewodzic. Gdy Kortycelli na niego nabiega, Wojewodzic podstawia mu szablę, przez którą Kartycelli musi przeskoczyć. Kortycelli ogląda się na Wojewodzica z urazą)

WOJEWODZIC (patrząc z uśmiechem za Kortycellim) Hop, lalko! (Starościna okazuje nieukontentowanie. Tekla tłumi śmiech radości)

SCENA PIĄTA

STAROŚCINA, TEKLA, WOJEWODZIC, później KAMERDYNER

WOJEWODZIC (zbliża się z powagą do Starościny i całuje ją w rękę) Całuję rączki pani starościny dobrodziki. Radość mam zupełną, że widzę panią w pożądanym stanie zdrowia.

STAROŚCINA (obojętnie) Witam pana, panie wojewodzicu! — (Obciera nieznacznie rękawiczkę chusteczką)

WOJEWODZIC (do Tekli, ze stłumionym uczuciem) Pozwoliszże mi, panno kasztelanko dobrodziko, uścisnąć także swą rękę i przypomnieć te słodkie dla mnie chwile, w których staraliśmy się rozweselać sędziwe lata babki twej, pani? (Tekla zmieszana nie odpowiada; on, patrząc na nią poważniej, mówi) Ale gdy na panią patrzę, zdaje mi się, że już te momenta są przeszłością, bodaj zapomnianą. Już ani te gry tak wesołe, ani to nadskakiwanie dziecinne starej i kochającej opiekunce powtórzyć by się nie mogło.

TEKLA (przychodząc do siebie, z żywością) Czemuż to, panie wojewodzicu?

WOJEWODZIC (surowiej) Zmięłaby się może ta paradna suknia i puder obsypałby się z fryzury.

TEKLA Ten strój, panie wojewodzicu, dowodzi tylko, że się ubieram tak, jak miejscowa moda wymaga, że nie mam wstrętu ani do pudru, ani do fryzury, ale nie dowodzi wcale, abym zapomniała tych chwil bardzo mi pamiętnych, którem z kochanej babki mojej spędziła.

WOJEWODZIC Wdzięczny jestem pani i za tę miłą wzmiankę. A pani starościnie dobrodzice najuprzejmiej dziękuję, żeś mi dziś jeszcze dała ją słyszeć, a złożeniem sobie mojej atencji pozwoliła dopełnić najgorętszego życzenia mego serca.

STAROŚCINA (ceremonialnie) Moja synowica w imieniu moim prosiła cię, panie wojewodzicu.

WOJEWODZIC Więc nie jaśnie wielmożna pani sama? (prostując się i gładząc wąs). Toż mi bardzo przykro, jeżelim może przyszedł nie w porę.

STAROŚCINA (grzeczniej i weselej) O, jeszcze mamy czas. Chciej usiąść panie wojewodzicu, proszę cię. (Siadają) Jadę dziś na podwieczorek do pani hetmanowej koronnej. Chcę korzystać z tej zręczności i podziękować najjaśniejszemu panu za jego dla mnie łaskę. Właśnie wyszedł stąd Kortycelli. Król jegomość raczył go przysłać umyślnie dla dowiedzenia się o moim zdrowiu. (Z wymówką) Ale obszedłeś się, panie wojewodzicu, trochę niegrzecznie z szambelanem królewskim. Zapewne go nie poznałeś.

WOJEWODZIC (z uśmiechem) I owszem. Ale nie moja wina, mościa starościno dobrodziko, że się pan szambelan tak spieszył i musiał przeskoczyć przez moją szablę, która się przypadkiem podniosła. Żałuję tylko, że się to stało na progu jaśnie wielmożnej starościny. Gdzie indziej to bym tego intrygan-ta, który nam Wieliczkę przeszachrował, przez kij przesadził.

STAROŚCINA (na stronie) Quel ours! mon Dieu! (Do Tekli) Moja Teklusiu! Jest tam na moim biurku list do mego brata w interesie twego majątku. Przeczytaj go, zrób stosowny dopisek i zakopertowawszy przynieś tu. (Tekla odchodzi do pokojów Starościny) Ponieważ jesteśmy sami, powiem ci, panie wojewodzicu, że twoje obejście się z Kortycellim było niepolityczne. To człowiek ze znaczeniem. A kiedy kto się stara o łaskę u dworu, powinien by go menażować.

WOJEWODZIC (oglądając się mówi ciszej, ale dobitnie) Pani dobrodziko, gdybym chciał zostać metresą królewską, to bym temu pokurczowi nadskakiwał. Ale ja staram się tylko o kasztelanię. Najuniżeniej jednak przepraszam panią, jeżeli jej to zrobiło przykrość. On się nie obrazi. Tacy ludzie wiedzą, na kogo można się gniewać. Racz więc jaśnie wielmożna pani o tym zapomnieć.

STAROŚCINA (na stronie) Trudno mi z nim będzie.

WOJEWODZIC Czy i panna kasztelanka dobrodzika jedzie także na podwieczorek do pani hetmanowej?

STAROŚCINA Comme de raison. Właśnie mam ją tam najjaśniejszemu panu zaprezentować.

WOJEWODZIC (kręcąc wąsa — chmurno) Więc to zapewne dla tej ceremonii ten strój naszego sfrancuziałego dworu?

STAROŚCINA Czy znajdujesz, wojewodzicu, że jej tak nie do twarzy?

WOJEWODZIC O, żadna, najniedorzeczniejsza moda nie może zepsuć tego, co natura tak doskonale urobiła. Ale ja sądziłem...

STAROŚCINA Że ten wstręt parafiański, który nabyła u babki, zostanie jej? Widzisz, panie wojewodzicu, że się to zmieniło. Sama ci to powiedziała.

WOJEWODZIC (smutno) Słyszałem, słyszałem.

STAROŚCINA Rzecz to bardzo naturalna. Obejrzała się po świecie i widzi, że to potrzeba czasu, gust wieku, strój wszystkich cywilizowanych narodów. A potem trudno by jej było odróżniać się, dla jakiegoś źle zrozumianego patriotyzmu, od wszystkich dam z urodzeniem i edukacją, z którymi żyć będzie musiała, jak pójdzie za mąż. Osoba tak piękna powinna jaśnieć na dworze naszym. Do tego się sposobi i dlatego postaramy się wydać ją za mąż tak, aby jej mąż nie był przeciwnym tym gustom elegancji i wykwintnego obejścia się, do których coraz przyzwyczaja się i w których zaczyna smakować.

WOJEWODZIC (na stronie) Nie mam ja tu, widzę, co robić! (Wstaje)

STAROŚCINA A propos kasztelanii, o której wspominałeś, wojewodzicu! Więc masz nadzieję, że ją otrzymasz?

WOJEWODZIC Tak sądzę, że zasługi mojego ojca, że już o swoich nie wspomnę, a jak dziś, protekcja znakomitych osób — wyjednają mi ten zaszczyt.

STAROŚCINA (filuternie) Dobrze by to było, i nie tylko dla honoru zasiadania w senacie, ale i dla innych, bliżej interesujących cię względów. Otrzymanie tego krzesła wiele by usunęło trudności. Są jednak ważne przeszkody. Ja wiem. I jeżeli mnie, wojewodzicu, nie usłuchasz, żadna protekcja nie pomoże. (Wstaje) Rozumiem jednak, że się dasz nakłonić, jak dobrze wszystkie okoliczności rozważysz.

WOJEWODZIC Cóż by to było? Czynisz mnie jaśnie wielmożna pani bardzo niespokojnym. Jako obywatel, mający pewne do tego prawa, staram się usilnie o miejsce w tym poważnym gronie, gdzie radą i głosem mógłbym wesprzeć upadającą Rzecz naszą. Ale dobrześ jaśnie wielmożna pani powiedziała, że nie ten jest jedyny powód, który mnie skłania pragnąć gorąco, abym otrzymał krzesło w senacie naszym. Wiadomo to bez wątpienia pani starościnie dobrodzice, żem przyrzekł babce panny kasztelanki, że jeżeli otrzymam jej rękę z łaski jej opiekunów i jej samej, nie poprowadzę ją do ołtarza, aż wtedy, jak będę senatorem. Gdybym więc tych przeszkód, o których pani starościna dobrodzika mówisz, zwalczyć nie mógł...

STAROŚCINA (kontenta) Ja ci powiadam, wojewodzicu, że się dadzą usunąć, nawet łatwo, ale trzeba mię usłuchać, trzeba się oddać w moje ręce. (Do Tekli wracającej z listem w ręku) Merci, ma chère — każ to odnieść na pocztę. Czy jeszcze nie ma siódmej?

TEKLA Dopiero szósta, moja ciociu! Właśnie patrzałam.

STAROŚCINA Mamy więc jeszcze czas do konferencji. Chodź, panie wojewodzicu, zakomunikuję ci w tej mierze nawet dokument piśmienny, z którego się przekonasz, ile ci na tym zależy abyś rady mojej usłuchał. (Podaje mu rękę)

WOJEWODZIC (podając jej ramię — posuwisto) Służę pani dobrodzice. (Oddalają się parę kroków)
STAROŚCINA (obracając się do Tekli) Soyez prète, ma bonne amie! Za godzinę jedziemy. (Wychodzą do gabinetu we drzwi na prawo)

TEKLA (sama) zakrywa twarz i tak stoi — (po chwili) Jak mnie to dręczy! Tak byłam zmieszana, a on na mnie tak surowo i z taką wymówką spojrzał! — Nie musi być kontent; posądzi mnie o płoche małpowanie tutejszego świata, który mi się tak brzydkim wydaje. — I jak nie ma posądzić, kiedym jeszcze sama wyrwała się co prędzej z tym głupim słowem, którem obiecała ciotce, że powiem. (Po pauzie) O, doprawdy, co to za głowa u tej mojej ciotki! Gdyby takie serce, uciekłabym stąd pewnie. Żałuję, żem go na złość jej nie ostrzegła, żem nie szepnęła mu: „Nie słuchaj! Dobrze ci z tym wąsem, z tą szablą, przez którąś efronta dworaka przesadził". — Ale dzięki Bogu, mogę być spokojna. Jak go widzę, jak się tu pokazał, pewna jestem, że wymowa mojej kochanej cioci będzie daremna. Wszakże nie w tym rzecz. To najgorsze, że on sobie pomyśli, żem ja tego chciała, i wyrzeknie się wszystkiego. (Patrząc ku drzwiom Starościny). A ja go podobno więcej kocham, niż sama myślałam. (Kamerdyner wchodzi)

KAMERDYNER Pan kasztelanic Wojnicki!
TEKLA (tupnąwszy nogą) a tak, w porę! — powiedz, że ciocia natychmiast wyjeżdża — słuchaj — odesłać ten list na pocztę! (Kamerdyner wychodzi). Nieznośny elegant, przychodzi mnie nudzić, kiedym zła na siebie i na wszystko, co mnie otacza. Doprawdy, że jednym zamachem strzepnę sobie z głowy tę mąkę, rozchoruję się i nie pojadę wcale. Na co mi ten podwieczorek, te ceregiele, to prezentowanie się? Szambelany i dworaki mówią w oczy tak bezczelne komplementa, cóż dopiero król? (Namyśla się) A gdybym też ośmieliła się powiedzieć wszystko królowi, jeżeli do mnie zagada? Czemu nie? Ja mu potrafię rzecz wyłożyć — i kto wie, może mnie wysłucha. On pewnie nie taki, jak o nim mówią. — Otóż pojadę i będę ładną, na złość im wszystkim. A ty, panie wojewodzicu, nie daj się zwieść — trzymaj się swej karabeli — bo ja cię tylko tak kocham. (Wychodzi prędko — zasłona spada).

Koniec aktu pierwszego.

D. c. n.

WIADOMOŚCI

z życia świetlic — przegląd wydawnictw — różne

ALFRED J. SOKOLNICKI

POLSKIE TAŃCE W STANACH ZJEDNOCZONYCH

Tańce polskie cieszą się w Stanach Zjednoczonych nadzwyczajną popularnością. Życie, efekt tempa figur i gestu i w ogóle charakter tańca polskiego silnie oddziaływują na Amerykanów. Gdziekolwiek jest jaki festyn, program lub obchód, zakrojony na poważniejszą skalę, tam zwykle chcą widzieć polskie tańce.

Różne organizacje polonijne, jak np. Związek Narodowy Polski, Związek Polek w Ameryce, Zjednoczenie Polskie Rzymsko-Katolickie, Stowarzyszenie Polaków w Ameryce, Sokolstwo i podobne, mają w programach ćwiczenie młodzieży w tańcach polskich.

Festiwale narodowościowe cieszą się wielką popularnością w Stanach Zjednoczonych. W tym samym roku niektóre miasta mają takie programy, jak festyn wiosenny, świętojanki, dożynki i festyn jesienny. Polskie tańce należą zwykle do głównych atrakcji.

Polskie zespoły młodzieży i starszych osób w Detroit, Passaic, Chicago, New York, Milwaukee, St. Louis, Filadelfii i w Hollywood słyną na całą Amerykę ze swoich występów.

W pięknych strojach polskich (zwykle krakowskich) młodzież wykonuje takie tańce jak mazur, krakowiak, kujawiak, oberek, trojak, zbójnicki, kokotek, kaszubski łewczarz i polonez. (Chociaż liczni krytycy, przeważnie pochodzenia polskiego, występują przeciw zespołom, które tańczą poloneza bez kontuszów, trzeba uznać, iż nie można w sferach amerykańskich pomijać poloneza, kontusze zaś są bardzo kosztowne, za kosztowne na przeciętną kasę zespołu młodzieżowego. Aby pokazać Amerykanom, że kultura polska szczyci się polonezem, zespoły przedstawiają go w strojach krakowskich. (Zwykle informuje się publiczność, iż kostiumy, w których polonez jest tańczony, są wspaniałe i stosują się do wysokiej powagi poloneza).

Amerykanie cenią nasze malownicze kostiumy i tańce. Kierowniczki skautingu żeńskiego planują doroczne pokazy tańców międzynarodowych. W ten sposób szerzy się piękno tańców polskich i piękno kultury polskiej. Często widuje się łatwe formy mazura, krakowiaka i trojaka śląskiego. W festiwalu tańców narodowych, National Folk Festival, zespoły polskie biorą zawsze udział i ich występy cieszą się powodzeniem.

Autor w swojej styczności z licznymi folklorystami amerykańskimi zdecydował, iż chociaż tańce polskie są piękne same przez się, muszą one być związane z licznymi obyczajami, legendami i tematami polskimi. Dlatego zespół polski „Mazur", którym kieruje, przedstawił na festiwalach narodowych takie obyczaje jak „śmigus", „wesele", „ostatki" i legendę humorystyczną „Umarł Maciek . . ." z licznymi figurami mazura. Treść obyczajowa, połączona z tańcami, stanowi bogatą całość i daje wspaniały efekt propagandowy.

Musimy pamiętać, że tańce są uniwersalną mową kulturalną. Nie wymagają znajomości języka u widzów i są miłą rozrywką, oddziaływującą nawet na takie osoby, które nie mają świadomości kultury polskiej.

Z rozwojem telewizji tańce polskie stały się jeszcze ważniejszym czynnikiem kulturalnym. Polskie zespoły występują często w różnych programach telewizyjnych w ramach dwóch rodzajów widowisk — oświatowych i rozrywkowych.

Musimy korzystać z tych sposobności i „sprzedawać" polską kulturę widzom telewi-

zji, którzy w zwykłych okolicznościach nigdy by nie zetknęli się z kulturą polską.

Tańce polskie są kluczem do kultury polskiej, oknem do jej piękna, i drzwiami, przez które szersza publiczność zdobywa bliższą znajomość Amerykanów pochodzenia polskiego. Dlatego musimy nadal je pielęgnować, a krytykom pokazać, iż konstrukcyjna praca w tej dziedzinie będzie żyła dłużej, niż jałowa krytyka.

POCZĄTKI SPORTU POLSKIEGO

Rodowód „archeologiczny" sportu polskiego sięga oczywiście głęboko wstecz, skoro za sport uznamy każdą grę fizyczną podjętą w myśl bezinteresownego współzawodnictwa. Gdy jednak wymieniamy słowo „sport", widzimy coś ściśle określonego: boisko, widownię, skocznię narciarską, tor ślizgawkowy, basen pływacki, wreszcie nurt rzeczny oznaczony liniami chorągiewek. O czasach dawnych powiem więc tylko pokrótce: główną grą fizyczną dawnych Polaków była szermierka — nie mam tu na myśli szlacheckich pojedynków, ale palcaty — oraz gra w piłkę ręczną, przede wszystkim palanta.

Jazda konna nie należała do rozrywek dawnych Polaków, koń był po prostu ulubionym środkiem komunikacji.

Ruch sokolski również tu pominę, aczkolwiek w niektórych przypadkach stał się on wylęgarnią ściśle sportowych zainteresowań. Sokół zresztą i sokoli nie działali w czasie mej młodości na wyobraźnię dorastających chłopców. Odstręczała nas od Sokoła duszna sala gimnastyczna i perspektywa wykonywania w niej gimnastyki szwedzkiej, a także i ćwiczeń na przyrządach.

Jedno i drugie wiązało z czymś ściśle określonym. A nas nęciła przestrzeń zielonego boiska czy zima śnieżnego stoku gór.

Sport w tym nowym znaczeniu zrodził się jednak w Polsce nie w górach, ani na zielonych boiskach, a na Wiśle. Niewielu z nas pamięta dziś i wie, że pierwsze w Polsce Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie powstało już w roku 1878. Przypomnijmy interesujące okoliczności tego zdarzenia. Otóż stało się, że grupa amatorów wioślarzy i żeglarzy warszawskich, rezydujących w barze „Pod Retmanem", który spełniał dla nich coś w rodzaju klubowej siedziby, zamyśliła utworzyć wzorem angielskim klub wioślarzy. Rzecz zdawałaby się prosta, gdyby nie owe czasy, kiedy władze rosyjskie, z pewną zresztą słusznością, upatrywały w każdym zamiarze organizacji Polaków dążenie niepodległościowe. Gubernator warszawski ociągał się długo z zatwierdzeniem statutu i trzeba było dopiero interwencji Ksawerego Branickiego, ażeby opory przełamać i to pod swoistymi warunkami: Warszawskie Towarzystwo Wioślarskie miało mieć godło analogiczne z petersburskim klubem jachtowym. Ponieważ jednak godłem tym był znak właściwie szwedzki, to jest: niebieski krzyż na białym polu, rzecz nie budziła sprzeciwu u Polaków. Zauważę tu nawiasowo, że owo połączenie białego z niebieskim stać się miało później tradycyjną barwą warszawskiego sportu i przerodziło się rychło w biało-niebieskie koszulki warszawskiego koła sportowego, drugiej z kolei organizacji sportowej polskiej powstałej na terenie Warszawy.

Lecz tu pora przerzucić się do drugiej części Polski, to jest do Galicji, wcielonej do monarchii austro-węgierskiej. Praojcem sportu tamtejszego stał się słynny doktor Jordan, chirurg z zawodu, przybyły do Krakowa z kresów, z zaboru rosyjskiego. Jordan — mimo iż intencje jego były te same, co intencje Sokoła, to znaczy zmierzały do stworzenia pod pozorem ćwiczeń cielesnych organizacji paramilitarnej, zrozumiał, jak bardzo odstręcza dzieciaków perspektywa ćwiczeń w zamkniętej sali i paradnych pochodów. Zakupił przeto czy też wydzierżawił od miasta trawniki i bagna na lewym brzegu rzeczki Rudawy, zmeliorował je, urządził boiska i chodniki i kreował w ten sposób tzw. Park Jordana, czyli wielki ogród ruchowych gier, przeznaczony nie tylko dla młodzieży gimnazjalnej ale i przede wszystkim dla dzieciaków szkół powszechnych. Tam powstały początki krakowskiej piłki nożnej i lekkoatletyki.

Intencji zacnego Jordana byłby może nie rozsadził tak rychło ów żywioł pędu, potrzebującego coraz większej przestrzeni, gdyby po drugiej stronie Rawki nie znajdowało się ogromne, zielone pastwisko Błoń. Tam to zaczęły się coraz częściej wylewać grupy i drużyny młodzików z

parku Jordana. Wyrwawszy się spod ręki kierowników jordanowskiego parku odczuły potrzebę organizacji już samorzutnej. Bazą organizacyjną, czy też kadrą, miały się stać krakowskie gimnazja.

Tak więc z uczniów gimnazjum Św. Anny (Nowodworskiego) powstała pod egidą Stanisława Szeligowskiego świetna „Cracovia" — z uczniów I Szkoły Realnej pod egidą Władysława Janknera niemniej znakomita „Wisła". Utworzone w ten sposób kluby miały już w kolebce ową cechę szczególną: główni ich sportowcy i działacze należeli do inteligencji. Legendarny na Błoniach krakowskich Staszek Szeligowski został z czasem docentem astronomii, Jankner inżynierem. W szeregach drużyn krakowskich, jak zresztą i lwowskich, spotykamy wielu późniejszych lekarzy, prawników, uczonych.

Sport, jak go wówczas pojmowaliśmy, miał być tylko pasjonującą i szlachetną rozrywką, a współzawodnictwo sportowe pomocą, przeszkoleniem na życiowej drodze. I jeszcze jedna rzecz godna uwagi: ówczesne środowisko, z którego wyrosły pierwsze polskie kluby, było biedne. organizujące się kluby były zdane na samych siebie, bo możnych protektorów zabrakło. Ten rys bezinteresowności, ta chęć służenia słusznej sprawie, miały stanowić o atmosferze swoistej dla sportu polskiego do ostatnich lat.

Lwów nie miał ogrodu Jordana, ani nawet nie usiłował go naśladować. Pierwszą drużyną sportową we Lwowie, zrazu tylko szkolnym klubem piłki nożnej, — drużyną starszą od „Cracovii" i „Wisły" — byli „Czarni", założeni w r. 1903. Rychło po założeniu rozgrywałem przeciw „Czarnym", chłopiec wówczas czternastoletni, mecz piłki nożnej. Graliśmy na dużym i prawidłowo wykreślonym już boisku, położonym na dawnych terenach powystawowych Łyczakowa. Gwiazdami „Czarnych" byli wówczas Szerauc i Papius — obaj zresztą mistrze w szybkiej jeździe na lodzie, w której zwalczali się niemniej namiętnie, jak przyjaźnie współdziałali prowadząc atak „Czarnych" ku bramce przeciwnika.

Nie „Czarni" mieli jednak objąć prymat w sporcie lwowskim, ale rychło po nich utworzona „Pogoń", której przodowała tzw. dynastia Kucharów. „Dynastia" dynastią w ścisłym tego słowa znaczeniu nie była, składała się bowiem z sześciu braci: Karola, Mieczysława, Tadeusza, Wacława, Władysława i Zbigniewa. Nie znam historii światowego sportu, ale wątpię, czy zdarzyło się kiedykolwiek, aby aż sześciu braci występowało w barwach jednego i tego samego klubu. Najstarszy z rodzeństwa Władysław był najwybitniejszą postacią w tej szóstce, mimo iż popularniejszym od niego miał się stać słynny Wacek, as i podpora drużyny piłkarskiej „Pogoń". Władysław zasłynął jako lekkoatleta. On to odnosi pierwsze zwycięstwo międzynarodowe, bijąc w Wiedniu w biegu na przełaj wszystkich zawodników monarchii austro-węgierskiej. „Der Lemberger" — czytałem wówczas w prasie wiedeńskiej — „ist unbesiegbar"! Lwów zatem należy uznać za kolebkę polskiej piłki nożnej i lekkoatletyki.

Przypomnę tu zabawne okoliczności, w jakich rozegrał się pierwszy mecz międzymiastowy Lwów — Kraków. Działo się to jeszcze na jednym z boisk w parku Jordana. „Cracovii" i „Wisły" bodajże jeszcze nie było. Trudno mi zatem powiedzieć, kto ze strony krakowskiej organizował spotkanie. Oba miasta wystawiły drużyny normalne, tj. złożone z 11 graczy. Boisko było bardzo ciasne, o wiele poniżej normy. Tuż obok przepływała Rudawa, piłkę trzeba było parę razy wydobywać z wody. Mecz stał się popisem tzw. „wózkarzy solistów". Skończył się wynikiem 1:1, a sędzią, czy może tylko gospodarzem spotkania stał się doktór Jordan, który zrozumiał już z pewnością. że stworzony przezeń park nie pomieści zawodników ani widzów, i że trzeba będzie ustąpić z chwałą przed zbliżającą się nową erą.

W parę lat późnicj potężne już i silne kluby krakowskie i lwowskie występowały na właściwych boiskach, w pięknych barwach klubowych, a przeciwników sprowadzały z zagranicy: z Węgier, Austrii i Czech.

O wiele później niż w Galicji obudzić się miał sport boiskowy w Warszawie. Wielu warszawiaków spoglądając wstecz utożsamiało jego historię z historią parku Jordana. Sport warszawski zagnieździł się bowiem również w miejskim parku. Sama nazwa jednak: „Agricola" świadczyła o jakimś innym rodowodzie. Nazwa „Agricola pochodzi mianowicie od urządzonej w części ogrodów na Szkarpie (Łazienki, Botaniczny, Ujazdowski) wystawy rolniczej. Stoiska, drewniane pawilony, trawniki dla pokazu bydła i koni, wszystko to, wzniesione dużym kosztem, domagało się jakiegoś zastosowania. Przypadek chciał, że główny trawnik wystawowy miał rozmiary boiska piłkarskiego, nawet z pewnym

zewnętrznym marginesem, zezwalającym na urządzenie bieżni. Dokoła trawnika stały zaś niezłe loże i trybuny wystawowej widowni. Cały ten spadek po skrzętnych rolnikach Królestwa objęło Warszawskie Koło Sportowe, pokrótce WKS. Zorganizowane później od klubów galicyjskich, pozostawało też za nimi w tyle, jeżeli chodzi o wyniki. Strukturę jednak wewnętrzną miało taką samą, co tam: w skład jego wchodziła przede wszystkim inteligencja i młodzież szkół średnich, tym razem prywatnych. Główni działacze i zawodnicy W.K.S.'u stanowią dokładne odbicie szczególnego układu społecznych warstw Warszawy i powiązanie ze sferą mieszczan niemieckiego pochodzenia; mam tu na myśli braci Lothów, braci Gebethnerów, Krygiera, Rotherta, — wszystkich, o ile mi się zdaje, uczniów gimnazjum im. Reja. Nie potrzeba chyba tłumaczyć jak doskonałymi byli Polakami, zarówno wówczas, jak i w późniejsze lata. Ambitni warszawiacy musieli połknąć gorzką pigułkę dostawszy w roku 1912 pierwsze i generalne lanie od galicjaków, tj. od „Cracovii", która „nałożyła" im sześć bramek do jednej. Rychło jednak zrozumieli i oni „tajemnice" krakowskiej gry i mecze następne rozgrywali już al pari.

Piękna bieżnia lekkoatletyczne, jedyna wówczas w Polsce, ułatwia wzrost lekkoatletyki warszawskiej, która wkrótce dorównała galicjanom, a rychło miała objąć bezapelacyjny prymat nad całą Polską.

Nie sposób tu pominąć i początku tenisu polskiego. W tym rej wodziła od początku i stale Warszawa. Powstały w tejże „Agricoli", warszawski klub tenisowy, sekcja W.K.S.'u, która z czasem miała się stać samodzielnym klubem, ma start najszybszy i najświetniejszy wśród wszystkich polskich dyscyplin sportowych. Filarami tenisa warszawskiego stać się mają tym razem nie mieszczanie pochodzenia niemieckiego, a dwaj wytworni panowie: bracia Kowalewscy. Z tych Jerzy postawą, elegancją, rycerskością w grze był najbardziej bodaj olśniewającą postacią sportu polskiego. Bracia Kowalewscy byli jednym z najgroźniejszych doubli w Europie. Głośne było ich zwycięstwo w doublu, odniesione na międzynarodowym turnieju w Berlinie. Zdarzyło się wtedy, że jeden z sędziów zakwestionował piłkę Jerzego Kowalewskiego, niewątpliwie prawidłową. Protest publiczności, a może i jakiś grymas obecnego na spotkaniu kaisera Wilhelma spowodował, że sędzia decyzję zmienił na korzyść Kowalewskiego. Mistrz nasz błysnął wówczas jednym ze swoich wspaniałych gestów i dwie następne piłki serwisu swego wsadził demonstracyjnie w siatkę, po czym wygrał spotkanie. Prasa berlińska zachłystywała się wówczas postawą „des polnischen Edelmanns", zaś sam kaiser ugościł w swym pałacu braci Kowalewskich, nie omieszkując tytułować ich „Herr Graf". Kowalewscy zaś byli nie grafami, ale synami warszawskiego właściciela drukarni.

Obok Kowalewskich miał stanąć rychło doskonały na owe czasy i górujący nad wszystkimi pozostałymi graczami singlista Kleinadel.

Poznań i Poznańskie pozostały w tyle za innymi dzielnicami i jeżeli gdzie można dopatrzyć się dowodu, że matecznikiem sportu naszego była szkoła polska i sztubacy, to właśnie tutaj. Poznań nie miał polskich gimnazjów i nie miały ich inne miasta poznańskiego. Młodzież tamtejsza nie mogła się zorganizować na szkolnej podstawie, ani zaczerpnąć w swym środowisku ducha współzawodnictwa. Co działo się na wodach poznańskiego na Warcie, na Gople, trudno mi dziś powiedzieć, gdyż materiałów żadnych nie ma. O rozwoju sportów zimowych, nad którymi zaciążyło terytorium, tym razem geograficzne, to jest łuk Karpat i Tatr, opowiem w innym artykule.

STANISŁAW SZPIGANOWICZ

TEATR POLSKIEJ YMCA W NIEMCZECH

W roku 1945, tuż po zakończeniu wojny, Polska YMCA w Wielkiej Brytanii zorganizowała na obszarze okupacji brytyjskiej w Niemczech polski teatr zawodowy.

Śmiała ta i godna uznania inicjatywa powstała na tle istotnych potrzeb.

Ludzie byli głodni Polski, chcieli po latach klęski i wszelkiego rodzaju nieszczęść odetchnąć atmosferę rodzimą; pragnęli zobaczyć i usłyszeć Polskę, przynajmniej na scenie. Wygnańcy umieli wniknąć w złudę najskromniejszej nawet sceny i przenosić się na skrzydłach tęsknoty do swoich

stron ojczystych i dobrych lat. Teatr więc był potrzebny, więcej — był konieczny.

Polska YMCA zaczęła działać.

Do współpracy zaproszono Leona Schillera, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności był w obozie jenieckim w Murnau, dokąd dostał się po upadku Powstania Warszawskiego. Trudno było o lepszy wybór. Na czele stanął twórca Polskiego Teatru Monumentalnego, jeden z najznakomitszych naszych reżyserów i teatrologów.

Na siedzibę teatru wybrano miasteczko Lingen, w pobliżu granicy holenderskiej, na obszarze okupacyjnym polskich jednostek wojskowych, i zaczęto prace organizacyjne.

Zebrano wiadomości o miejscu pobytu wszystkich polskich artystów, przebywających w Niemczech, i zaproszono ich do współpracy. Pozwożono ich z najodleglejszyych zakątków i umieszczono w największym hotelu w Lingen. Hotel ten nazywał się „Neve". Tak więc niemiecki hotel niemieckiego miasteczka stał się ni stąd, ni zowąd nawą polskiej sztuki i w ciągu kilku dni zaroił się aktorami, malarzami, rzeźbiarzami, muzykami, technikami — słowem, cyganerią artystyczną, przesiąkniętą jedną myślą twórczą; mózgiem i duszą był Schiller.

Każdy tak zwany „normalny" teatr żyje z kasy, więc i pracuje dla kasy, — musi pracować dla kasy, bo nie mógłby inaczej żyć. Czyniąc zaś coś dla kasy musi często brać rozbrat ze sztuką, to bowiem, co się powszechnie podoba, rzadko bywa w zgodzie z wewnętrznym przekonaniem artysty. Artysta zatem mysi albo być wierny sztuce i swemu geniuszowi — i przymierać głodem, a dopiero po śmierci liczyć na uznanie, albo sprzeniewierzyć się sztuce schlebiając powszechnym gustom na korzyść pełnego żołądka. Otóż teatr polski w Lingen nie musiał sprzeniewierzyć się sztuce dla kasy, — kasy bowiem nie było. Wstęp do teatru był bezpłatny, a potrzeby doczesne pracowników zaspakajała Polska YMCA. Ten znamienny szczegół jest tak ważny, że w historii polskiego teatru teatr lingeński musi być kiedyś określony jako wzór organizacji warsztatu sztuki z socjologicznego punktu widzenia.

Ale i artystycznie miał ten teatr swoje orygimalne oblicze. Nie teatr był dla aktora, lecz aktor był dla teatru. Gwiazdorstwo, opierające się na indywiduach o „wirtuozowskim zacięciu", były wyeliminowane. Wszystko było podporządkowane generalnemu celowi i zadaniom teatru.

Sprawy, dotyczące sztuki, były sferą Leona Schillera, który swą silną indywidualnością nadawał ogólny ton artystyczny obliczu teatru. W pracy swej nie był zbyt arbitralny i nie tylko pozwalał na współudział zainteresowanych w tworzeniu spektaklu, lecz współudziału tego wymagał. Choć praca nosiła zakrój zbiorowy, to jednak Schiller nie dopuszczał odchyleń od generalnej linii i koncepcji artystycznej, uzgadniając indywidualne sugestie wykonawców i wpasowując je niejako w harmonijną całość. Monumentalne widowisko było zawsze domeną Schillera i każdy, najbłahszy, zdawałoby się, temat nabierał w jego inscenizacji cech monumentalnych, o głębokich, szlachetnych tonach i pełni artystycznego wyrazu. Najprostsza piosenka owiana była w jego ujęciu jakąś nieuchwytną, choć łatwo wyczuwalną poetycką zadumą. Schiller malował swe sceniczne wizje śmiałymi, szerokimi pociągnięciami. Ciosał, — nie cyzelował. Rzucał barwy bogato i nie troszczył się zbytnio o szczegóły. Był wielkim mistrzem w operowaniu elementami ruchu, światła i tonu. Jego produkcje wywoływały burze ataków i zajadłych dyskusji między przeciwnikami i zwolennikami „Schillerowskiego stylu". Ta kontrowersyjność jest z jednej strony dowodem żywotności i dynamizmu, z drugiej zaś samym swym istnieniem świadczy o wartości schillerowskiego teatru walczącego.

Sztuka nie jest naśladowaniem natury, ani tym mniej jej kopiowaniem, jest natomiast jej interpretacją. Taką artystyczną interpretacją było pierwsze widowisko teatru lingeńskiego „Gody weselne". Na jego temat pisał Leon Schiller: „Teatr rozpoczyna swą działalność obrzędowym widowiskiem ludowym „GODY WESELNE", w którym złoży hołd prastarej, a duchem chrześcijańskim przepojonej twórczości chłopa polskiego — jego zwyczajom, jego poezji, pieśniarstwu, tańcom i zdobnictwu. Elementy te były przecież źródłem natchnienia wielu najprzedniejszych poetów, muzyków i artystów naszych, leżąc i podstaw monumentalnego teatru polskiego i silnie podkreślając jego odrębność".

Ktokolwiek chciałby się tu doszukać fotograficznej prawdy o chłopskim weselu, srogiego dozna zawodu. Kto chciałby zakwestionować autentyczność regionalnego kostiumu, pieśni czy obrzędu, — nigdzie nie znalazłby lepszego pola do popisu. A przecież... a przecież kto chciałby poznać ducha, nastrój i uczuciowość polskiej wsi w jej najbardziej charakterystycznych przeja-

wach, nigdzie nie znalazłby lepszego źródła, niż w tej artystycznej syntezie. Podobną syntezą polskiej piosenki z okresu ostatnich dwóch stuleci była druga z rzędu produkcja teatru „KRAM Z PIOSENKAMI“. I znowu nie wierność historycznym wzorom, lecz artystyczna transkrypcja, poetyckie wizjonerstwo, budowanie nastroju poprzez kompozycję były cechą charakterystyczną tego spektaklu.

Oczywiście żeby tyle dawać, trzeba to wszystko mieć. Rzadki jest dar „widzenia inaczej“ dlatego tak wielu mamy artystów, a tak ich przecie mało. Przez śmierć Leona Schillera sztuka polska poniosła wielką, bolesną i niepowetowaną stratę.

Działalność polskiego teatru lingeńskiego nie ograniczała się tylko do normalnych przedstawień dla dorosłych Pomyślano także o dzieciach i młodzieży, tworząc wysoce artystyczny teatr kukiełek. Teatr ten, zorganizowany przez nauczycieli i działaczy oświatowych na obszarze wsi i miasteczek, miał za sobą sporo cennych doświadczeń, a wziął sobie za zadanie kształcenie umysłu i charakteru dziecka za pomocą sztuki współczesnej. Pierwszym widowiskiem teatru kukiełek był utwór „POJECHAŁA MAMA Z TATĄ“, pouczająca, a zabawna baśń czarodziejska dla małych i dużych dzieci ze śpiewami i tańcami, układu Franka Rybałta. Na okres Bożego Narodzenia planowano pastorałki, które nie zostały jednak wykonane, ponieważ Schiller wraz z częścią zespołu tuż przed świętami odjechał do Kraju.

Tym dramatycznym akcentem skończył się jeden z ciekawszych i oryginalniejszych rozdziałów w dziejach polskiego teatru. Nie tu miejsce na analizę tego kroku. Faktem jest, że żywot Teatru Ludowego im. Wojciecha Bogusławskiego został tą decyzją zamknięty gwałtownie, a przedwcześnie. Wiele pozostawało do zrobienia. Dzieje teatru polskiego na emigracji innymi potoczyłyby się drogami, gdyby baza społeczno-kulturalna, realizowana przez Schillera, nie została całkowicie zaprzepaszczona. Teatr został z powrotem zepchnięty na nieszczęsne tory przedsiębiorstwa handlowego, tracąc w ten sposób wszelką niezależność i stając się znowu ofiarą pieniądza.

Na zakończenie należy podkreślić pełne zrozumienie potrzeb kulturalnych ze strony Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii oraz wysiłek przy dźwignięciu Polskiego Teatru do pozycji, jaką powinien i może zajmować pod każdą szerokością geograficzną wśród polskiego społeczeństwa.

NOWE KSIĄŻKI

Zofia Kossak. Rok polski, obyczaj i wiara. Londyn, Veritas, 1955. S. 231 i 41 całostronicowych ilustracji.

Autorka zaznacza na wstępie, że nie zamierza w swej książce zamknąć opisu wszystkich polskich obrzędów i obyczajów, związanych z różnymi porami roku i poszczególnymi miesiącami. Nikt nie mógł tego oczekiwać. Skarbiec naszej obyczajowości jest tak bogaty, że aby objąć wszystkie jego odmiany regionalne, należałoby wydać całą bibliotekę, a przede wszystkim podjąć ogromny trud naukowy. Trzeba było zatem dokonać wyboru.

Ogólny zakrój i tematyka książki przypomina trochę podobne wydawnictwo, ogłoszone przez Marię Dynowską. Kossak-Szczucka jest jednak pisarką zbyt dużej miary, aby mogła kroczyć w czyjekolwiek ślady bez ujawnienia swej indywidualności. Zaznacza się to w przekształceniu wszystkich pierwiastków książki w barwę, malowniczą, nastrojową narrację.

Jeden rys „Roku polskiego“ chwyta czytelnika szczególnie mocno za serce. Pisze o nim sama autorka jako o „luźnych wspominkach, barwą i głosem danego miesiąca przywołanych, a których odsunąć się nie da, gdy piórem kieruje tęsknota“. Strona obyczajowa życia polskiego uzyskała tło — w postaci przyrody. Umiała autorka oddać nie tylko jej stronę dekoracyjną, ale także swoisty nastrój, woń i rozświetlenie. Oto dla przykładu ustęp, poświęcony jednemu z miesięcy letnich:

„Miesiąc lipiec wyraża się przede wszystkim zapachem. Nie tylko lipy zmieniają proces oddychania w rozkosz. Wszystko pachnie. Tu las sosnowy las, tam przydrożna macierzanka, opodal pole żółtego łubinu... W lesie wonieją grzyby, dzikie maliny, zapóźnione poziomki, ziele zwane bagnem, którego nie znoszą mole, i pokorne, zawsze obficie rodzące, czernice...

Lipiec i jego wonie stanowią istotę lata, punkt

szczytowy roku, od którego rozpoczyna się spadek ku nieuniknionej jesieni. Cóż stąd, że dopiero w drugiej połowie lipca rozpoczynają się żniwa, walna kampania rolnika, o której myślał i dla której trudził się przez cały rok? Spełnienie jest zawsze schyłkiem".

Szczęśliwe połączenie dwóch nawarstwień, które składają się na polskie życie obyczajowe: przyrody i związanego z nią pradawnego kultu żywiołów oraz nowego ładu chrześcijańskiego złożyło się na sugestywną atmosferę, którą oddycha każda stronicą książki. Za udatny pomysł wydawniczy uznać należy zilustrowanie tekstu fotografiami wybitnych dzieł malarskich, związanych czyto z różnymi obyczajami, czy z krajobrazem, typowym dla poszczególnych pór roku. Wielu ze zdjęć szerszy ogół nie zna, toteż całość wydawnictwa spotka się napewno z poklaskiem. Chciałoby się bardzo, aby „Rok polski" znalazł jak najszersze rozpowszechnienie, przyczyniając się do utrwalenia ojczystych obyczajów wśród rozproszonych na obczyźnie rodaków.

Z ŻYCIA YMCA

WIECZÓR MIĘDZYNARODOWEGO FOLKLORU W HAMBURGU

W dniu 12 marca b.r., w estetycznej, nowoczesnej sali Domu Gminnego hamburskiej dzielnicy Eppendorf, staraniem HLD CVJM-YMCA *) odbył się wieczór tańca i pieśni ludowych, którego wykonawcami były grupy imciarskie: estońska, jugosłowiańska, łotewska, niemiecka, polska i ukraińska.

Wieczór zgromadził ponad 500 osób z obozów uchodźców na obszarze Hamburga. Wśród zaproszonych gości znaleźli się przedstawiciele hamburskiego Senatu, kierownik obozów, urzędnicy wydziałów opieki społecznej itd.

Wieczór ten był barwnym pokazem ludowego folkloru narodów Europy Środkowej i rejonu bałtyckiego.

Na szczególnie wysokim poziomie stało wykonanie pieśni ludowych przez znakomicie wyszkolony chór łotewski. Śpiewaczki solowe: estońska i ukraińska zebrały za swe wdzięcznie zaśpiewane piosenki poklask publiczności i wiązki tulipanów.

Publiczność, będąca na wieczorze, należała do tego rodzaju widzów, jakich życzyłby sobie każdy aktor: żywa, łatwo reagująca i wyrażająca swą wdzięczność wykonawcom rzęsistymi brawami. Owe huczne brawa, zmuszające śpiewaków i tancerzy do licznych „bisów", wydłużyły program niemal do 11-ej godziny wieczorem. Wszyscy bawili się znakomicie: widzowie — tańcami i śpiewami na scenie, wykonawcy — wdzięczną publicznością, która zagrzewała ich do dalszych występów.

Prawdziwy grzmot oklasków nastąpił jednak po popisach dziecięcego baletu z obozu Pinneberg. Jest to mieszana grupa taneczna składająca się z sześcioletnich dzieci polskich, ukraińskich i niemieckich, prowadzona przez b. primabalerinę p. Horomenko. Balet odtańczył „Moment muzyczny" Szopena i fragmenty z baletu Czajkowskiego „Jezioro łabędzie". Złotowłosa, czteroletnia „primabalerina" zespołu, w białej, gazowej spódniczce i atłasowych „„baletkach", poruszyła widzów dosłownie „do ostatniego rzędu". Brawom nie było końca, a sukces „baleriny" ukoronowało wręczenie jej wiązanki tulipanów, (choć, jak należy przypuszczać, bombonierka, napełniona czekoladą, zrobiłaby na tancerce dużo większe wrażenie).

Grupa polska zaprodukowała dwie pieśni w wykonaniu chóru „ECHO": wiązankę kujawiaków i „Czemu ty dziewczyno..." oraz „krakowiaka" i „trojaka", w wykonaniu dziecięcego zespołu tanecznego hamburskiego obozu „Funkturm". Barwne stroje krakowskie, śląskie i góralskie, hucznie, z przytupami, odtańczony krakowiak i raz zadumany, raz rozochocony śląski trojak zrobiły swoje: sala znów zabrzmiała brawami, a tulipany, które tym razem padły na scenę, miały kolor biało-czerwony.

Miły ten wieczór spełnił całkowicie swe zadanie i to wielostronnie. Uchodźcom ze smutnych, hamburskich obozów dał kilka godzin barwnej rozrywki i zapomnienia o codziennych, szarych troskach. Gościom, przedstawicielom władz i prasy pokazał kulturę ludową, z taką trudnością

---

*) *HLD — Heimatlosen Lagerdienst (Służba obozowa dla bezojczyźnianych); CVJM — Christlicher Verein Junger Männer, skrót nazwy niemieckiej YMCA. W ramach Komitetu utworzono Sekcję dla cudzoziemskich uchodźców, prowadzoną wspólnie przez YMCA niemiecką i światową.*

pielęgnowaną i przekazywaną następnemu pokoleniu przez grupy uchodźcze. Wreszcie samym wykonawcom dał wdzięczną publiczność, zasłużony poklask i zachętę do dalszej pracy.

Last but not least: był to wieczór prawdziwie imciarski, gromadzący widzów i wykonawców różnych narodowości przy jednym ognisku, rozpalającym serca wszystkich wzajemną życzliwością, zrozumieniem i ludzką szczerością. W tym ogniu stopiło się na pewno wiele powszednich małostek i wiele wzajemnej nieufności.

Widzowie i wykonawcy opuścili salę bogatsi o jedno przeżycie więcej: przeżycie wspólnego człowieczeństwa, które jest jedno, choć rozszczepione przez pryzmaty losów i historii w kolorową tęczę wielu narodów.

J. H.

Hamburg, marzec 1955

JESZCZE O TEATRZE POLSKIM YMCA W NIEMCZECH

W uzupełnieniu artykułu p. St. Szpiganowicza podnieść należy, że plany Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego były zakrojone na szeroką skalę. Program wymieniał kilka utworów, które miały być wystawione w czasie późniejszym, a mianowicie: „Złotą Czaszkę“ Juliusza Słowackiego, „Lekarza mimo woli“ Moliera w przekładzie Boya-Żeleńskiego, „Burzę“ Williama Shakespeare‘a i „Różę“ Stefana Żeromskiego, ponad to zaś dzieła Wyspiańskiego, Fredry, Claudela i innych.

Kierownikiem administracyjnym był Szczepan Baczyński. Stroną literacką opiekowali się pp. Juliusz Gomolicki i dr Juliusz Starzyński. Reżyserami byli Ziemowit Karpiński, Józef Wyszomirski i Lena Zelwerowicz. Zespół aktorski liczył 27 osób (M. Buchwaldówna, B. Fijewska, J. Janiczówna, E. Kuncewicz, J. Kuryluk, K. Malinowska, R. Pawłowska, B. Reńska, J. Sempolińska, M. Sznukówna, Z. Wasielowa, H. Zelwerowicz, O. Roessler-Żeromska; Szcz. Baczyński, Z. Blichewicz, T. Cygler, T. Fijewski, W. Mirecki, W. Modrzeński, J. Orchoń, A. Possart, W. Staszewski, St. Szpiganowicz, Z. Szymański, L. Talarski, B. Wasiel, J. Wyszomirski. Scenografię powierzono T. Orłowiczowi, M. Sygmundowi i J. Zamojskiemu, choreografię — B. Fijewskiej. Nad stroną muzyczną pracowali K. Blaschke, Wł. Cierniak, K. Hardulak, M. Hawluk, J. Müller, K. Orłowski i J. Tarłowski. Kostiumami zajmowały się M. Jachoszowa, K. Laskowska i J. Tokarska; fryzjerem był T. Makowski; sprawy techniczne i montaż sceny należały do K. Hermana, B. Nowickiego i E. Żylińskiego; administrację i organizację objęły panie K. Baczyńska, E. Blichewicz, E. Szpiganowicz i p. Jan Buchwald.

NOWY FESTIWAL TANECZNY

Dorocznym zwyczajem tancerze Polskiej YMCA wzięli udział w festiwalu tańców narodowych, organizowanym przez Międzynarodowe Towarzystwo Tańca Ludowego w dniu 26 marca br. w Royal Albert Hall w Londynie. Obfity program poza występem Polaków zawierał tańce Ameryki Północnej, Austrii, krajów bałkańskich, baskijskie, angielskie, estońskie, hiszpańskie, Manx, portugalskie, meksykańskie, szwedzkie, szkockie, norweskie, włoskie i ukraińskie. Łącznie zatem wystąpili przedstawiciele 16 krajów. Świadczy to o rozmachu przedsięwzięcia i o wzrastającej popularności tańca ludowego.

TURNIEJ O „POLSKIE MISTRZOSTWO LONDYNU“

Polski Klub Szachowy YMCA organizuje turniej szachowy o „Polskie Mistrzostwo Londynu i okolicy“ i puchar przechodni ofiarowany przez „Dziennik Polski“.

1. Udział w turnieju otwarty jest dla wszystkich szachistów Polaków zamieszkałych w Londynie i najbliższej okolicy z zastrzeżeniem, że spotkania rozgrywane będą na terenie Londynu. Poszczególne spotkania mogą być rozegrane poza Londynem jedynie za obustronną zgodą partnerów.

2. Opłata za udział w turnieju wynosi 5/-.

3. Nagrody: zwycięzca turnieju otrzyma na jeden rok puchar przechodni, ufundowany przez „Dziennik Polski“. Niezależnie od pucharu pierwsi czterej zawodnicy otrzymają nagrody na własność.

Specjalna nagroda przyznana będzie za najlepszą partię, nadesłaną do Komisji Turniejowej.

4. Wszystkie spotkania rozgrywane będą według najnowszych, obowiązujących przepisów międzynarodowych.

5. Wszystkie spotkania będą z góry rozlosowane i każdorazowo wyznaczony będzie termin nadesłania wyniku do sekretarza turnieju.

6. Rozkład rozgrywek i losowanie przeciwników zostaną dokonane przez Komisję Turniejową natychmiast po zamknięciu listy zgłoszeń.

7. Wszystkie kwestie sporne i nie objęte niniejszymi przepisami załatwiane będą przez Komisję Turniejową, w skład której wejdą pp.: K. Zbyszewski — przedstawiciel „Dziennika Polskiego“, B. Lesiecki — kierownik Klubu Polskiej YMCA, mgr T. Pruchnicki — z Klubu Szachowego Ealing, A. Distler — wiceprezes Klubu Szachowego Atheneum, M. Duda-Morena — prezes P.K.S. YMCA Londyn, K. Kasprowicz — sekretarz P.K.S. Londyn, S. Szpiganowicz — członek P.K.S. YMCA Londyn.

Lista zgłoszeń została zamknięta w dniu 10 marca br.

PRZED MISTRZOSTWAMI PINGPONGOWYMI

Tegoroczne zawody pingpongowe o tytuł brytyjskiego mistrza Emigracji w grze pojedyńczej i podwójnej skupiła dotychczas blisko 80 graczy z całej Anglii i Walii. Klub pingpongowy Polskiej YMCA w Londynie, przy współudziale kierownika Ośrodka Polskiej YMCA w Croydon, podjął się w tym roku ponownie zorganizowania i przeprowadzenia tej części rozgrywek, która ma na celu wyłonienie najlepszych graczy z obszaru Londynu i okolic do finałowych rozgrywek o mistrzostwo polskie w Manchesterze. Rozgrywki londyńskie odbyły się w dniu 29 marca w pomieszczeniu Brytyjskiej YMCA w Croydon, gdzie zapewniono uczestnikom dobre warunki techniczne, dzięki wielkiej uczynności miejscowego kierownika Brytyjskiej YMCA p. Lloyd Wheelhouse'a. Zawody przeprowadził kapitan drużyny Polskiej YMCA Londyn p. B. Halewski wspólnie z kierownikiem Ośrodka w Croydon p. A. Kitą.

DALSZE WIADOMOŚCI O STULECIU ŚWIATOWEGO KOMITETU YMCA

Z okazji zjazdu Imciarzy z całego świata w Paryżu na obchód stulecia organizatorzy projektują udostępnienie gościom jednej z 8 wycieczek do różnych miejscowości we Francji. Odbędą się one w dniu 19 sierpnia. Podajemy wykaz tych wycieczek łącznie z ich kosztami, obejmującymi przejazd, opłaty za zwiedzanie i jeden posiłek (lunch):

1. Zamki na Loarze (Chambord i Cheverny) — $ 8.
2. Reims (słynna katedra) — $ 6.
3. Chartres (malownicze miasto z katedrą gotycką) — $ 4.
4. Chantilly (zamek) i Royaumont — $ 3.50.
5. Fontainebleau — $ 3.
6. Wycieczka statkiem wzdłuż Sekwany — $ 3.
7. Trianon (dwa pałace) i Malmaison — $ 2.50.
9. Vincennes (zwany „średniowiecznym Wersalem") $ 2.

Zgłoszenia przesyłać należy na specjalnych formularzach do końca maja r.b. Wszelkich wiadomości o wycieczkach, związanych z Obchodem Stulecia, udziela Redakcja „Poradnika".

KLUB LONDYŃSKI UZYSKA DUŻĄ SALĘ

Komitet Polskiej YMCA w Wielkiej Brytanii powziął uchwałę, która powinna przyczynić się do zapewnienia naszemu Klubowi Londyńskiemu dogodniejsze warunki pracy. Postanowiono mianowicie przystąpić w najbliższym czasie do połączenia dwóch sal na pierwszym piętrze, znajdujących się w nowym domu Polskiej YMCA, w celu pozyskania jednej większej sali, nadającej się na przedstawienia teatralne i wszelkie imprezy, na których spodziewany jest napływ większej liczby osób. Przy sposobności wzmocnione zostały sufity, których wytrzymałość, przystosowana do użytku mieszkalnego, zaczynała zawodzić wobec żywiołowych hołubców naszych tancerzy (nie tancerek, których lotne stopy śmigają w powietrzu ledwie dotykając podłogi). Członkowie Klubu Londyńskiego obiecują sobie wiele po tych przeróbkach i snują różne plany i projekty, zmierzające do pełnego wyzyskania sali tak na użytek własny, jak i dla szerszego ogółu. Szczęść Boże!

PRZYJEMNY POMYSŁ

Otrzymaliśmy od Polskiej YMCA w Niemczech miły upominek wielkanocny. Jest nim powielana broszura p.n. „Pisanki", zawierająca wiersz Mariana Hemara o takiej samej nazwie. Na okładce znajdują się dwa ślicznie malowane jaja, nadające się wybornie jako wzór na pisanki. A teraz oddajemy głos autorom pomysłu:

„Zadaliśmy sobie trochę trudu z przepisaniem, odbiciem i wykonaniem papierowych „pisanek" na wzory.

„Praca nasza minęłaby się z celem, gdyby odbitka „Pisanek" Hemara powędrowała gdzieś do prywatnej szuflady na wieczny odpoczynek między niepotrzebnymi szpargałami.

„Prosimy więc: przeczytajcie ten wierszyk naprzód sami, a potem, jak mówi autor:

Niech, kto przeczyta, zapamięta
I dalej innym dzieciom powie...

„Pokażcie, jak się topi wosk w garnuszku, jak się rozpuszcza farby anilinowe lub robi kolorowy wywar z cebuli czy mięty, jak się rysuje pędzelkiem wzory, jak wkłada się do różnych farb, słowem — jak się robi pisanka, tak właśnie, jak to pięknie opisał Hemar...".

Jedna mała uwaga. Pismo nosi datę kwietniową. A Wielkanoc przypadła w tym roku wcześnie. Może jednak na obszarze Niemiec skrypt nie rozszedł się za późno? Szkoda byłoby zmarnowania pięknej inicjatywy i rzetelnego wysiłku wykonawczego. W każdym razie przykład wart jest przechowania w pamięci i naśladowania. Każdy bowiem rok ma swoją Wielkanoc.

TEGOROCZNY OBÓZ LETNI POLSKIEJ YMCA

Wzorem lat ubiegłych oraz zgodnie z przedwojennymi tradycjami obozownictwa imciarskiego w kraju, Polska YMCA w Wielkiej Brytanii urządza w okresie wakacyjnym roku bieżącego OBÓZ LETNI dla chłopców w wieku od lat 12 do 18. Obóz ten będzie prowadzony samodzielnie z własnym kierownictwem i programem.

Namioty mieścić się będą na obszarze wielkiego parku o powierzchni 88 akrów. Park ten, nadający się idealnie dla celów kempingowych, leży nad rzeką Hamble, na której uczestnicy obozu korzystać mogą z łodzi, żaglówek i kąpieli. Lesista okolica stwarza doskonałe warunki wypoczynkowe. Liczne grupy młodzieży brytyjskiej i przybyłej z innych krajów obozują w najbliższym sąsiedztwie, co daje sposobność do ciekawego współzawodnictwa.

Zaopatrzenie i wyposażenie

Obóz posiada stałe urządzenia higieniczne. Na miejscu czynny jest codziennie sklepik, zaopatrzony w produkty spożywcze oraz wszelkie przedmioty pierwszej potrzeby. Zapewniona jest opieka lekarska i zdrowotna. Uczestnicy korzystają z różnorodnych udogodnień sportowych, jak boiska do siatkówki, koszykówki, piłki nożnej, krykieta i lekkiej atletyki oraz stoły ping-pongowe. Łodzie, żaglówki oraz korty tenisowe są dostępne za opłatą. Kierownictwo dołoży wszelkich starań, aby wyżywienie było obfite, smaczne i pożywne. Kuchnia prowadzona będzie we własnym zakresie przez fachowego kucharza Polaka.

Program

Program obozu opiera się na doświadczeniach obozownictwa Polskiej YMCA sprzed wojny oraz z lat ostatnich. Przewiduje się między innymi uprawianie na szeroką skalę gier sportowych, zawodów i zaprawy lekkoatletycznej i pływackiej (z przystosowaniem do wieku uczestników), prób sprawności dla uzyskania polskiej odznaki sportowej, kąpieli pod nadzorem, wycieczek krajoznawczych i przyrodniczych. Osobny dział programowy stanowić będą ogniska i pogadanki oraz zajęcia w grupach zainteresowań. Przewidziane są konkursy i rozgrywki. Położony będzie nacisk na pogłębienie wiadomości chłopców z zakresu języka i dziejów ojczystych. Do użytku obozowców i pod ich zarząd oddana będzie odpowiednio wyposażona biblioteka. Bank obozowy zapewni bezpieczeństwo drobnych funduszów uczestników, zaznajamiając ich jednocześnie z zasadami racjonalnego oszczędzania.

Obozowców obowiązywać będzie udział w niedzielę i święta w nabożeństwach.

Uczestnicy zgromadzeni będą w zespołach od 6 do 8 pod opieką specjalnie przeszkolonych przodowników; nad całością czuwać będzie polski kierownik obozu, którym jest jeden z przedwojennych pracowników YMCA o wieloletnim doświadczeniu obozowym.

Termin

Obóz trwać będzie trzy tygodnie: od dnia 25 lipca do 15 sierpnia. Najkrótszy pobyt wynosi dwa tygodnie.

Opłaty

Koszt pobytu w obozie wynosi 57 sh. na tydzień. Opłata pokrywa całkowitą należność za wyżywienie i pomieszczenie; wszyscy uczestnicy ubezpieczeni są na życie i od wypadku. Obóz zaopatruje chłopców we wszystkie potrzebne przedmioty i urządzenia, z wyjątkiem osobistych przyborów toaletowych. Listę przedmiotów, które uczestnicy winni zabrać ze sobą, podajemy osobno.

Zgłoszenia

Wszelką korespondencję w sprawie obozu Polskiej YMCA w Botley należy kierować pod następującym adresem: Polska YMCA, 46/47 Kensington Gardens Square, W.2. Telefon BAY 4678.

Termin zgłoszeń upływa z dniem 15 lipca br. Osoby zainteresowane (rodzice lub opiekunowie, ew. sami kandydaci na obóz) winny wypełnić formularze oraz nadesłać Postal Order na kwotę 10 szylingów (które zwrotowi nie podlegają). Reszta należności za pobyt winna być wpłacona nie później niż na 7 dni przed wyjazdem uczestników na Obóz.

WYBÓR UTWORÓW SCENICZNYCH I INSCENIZACJI

DRUKOWANYCH W „PORADNIKU KULTURALNO-OŚWIATOWYM" W LATACH 1947—54

1. **Komedie, fraszki sceniczne, farsy, jednoaktówki, sensacyjne:**

Budzyński Wiktor —
— Babcia winna, komedia w jednym akcie; Nr 141/2, rocznik 1952.
— Kelnerzy (z nutami), Nr 116/117, rocznik 1950.
— Villa Esperanza (Miasteczko Nadziei); Nr 125, rocznik 1951.

Conrad Joseph —
— Jutro; Nr 157/8, rocznik 1953.

Fredro Aleksander —
— Nikt mnie nie zna; Nr 152/3, rocznik 1953.
— Pierwsza lepsza czyli Nauka zbawienna; Nr 109, rocznik 1949.
— Świeczka zgasła; Nr 121/122, rocznik 1950.
— Z jakim się wdajesz, takim się stajesz; Nr 121/122, rocznik 1950.

Konopnicka Maria —
— Moja cioteczka; Nr 140, rocznik 1952.

Kuszelewska Stanisława —
— Dama kier; Nr 93, rocznik 1948.

Lisiewicz Teodozja —
— Dwa ogniwa; Nr 113/114, rocznik 1950.
— Pomyłka Urszuli; Nr 118, rocznik 1950.
— Legenda; Nr 120, rocznik 1950.
— Amator; Nr 126/127, rocznik 1951.
— Szalenie miły wieczór; Nr 146/7, rocznik 1952.
— Szklanka mleka; Nr 128/129, rocznik 1951.
— Lepiej późno, niż nigdy; Nr 135/136, rocznik 1951.

Marynowski Zdzisław
— Operacja; Nr 92, rocznik 1948.
— Słowny człowiek; Nr 104, rocznik 1949.
— Murzyn (epizod sensacyjny); Nr 107/108, rocznik 1949.
— Wyrok (epizod dramatyczny z czasów okupacji niemieckiej); Nr 130/131, rocznik 1951.

Nowakowski Tadeusz —
— Przyczyna nieznana; Nr 101, rocznik 1949.

Prus Bolesław —
— Drzymalski, ty chcesz się żenić! (Przeróbka sceniczna); Nr 119, rocznik 1950.

Tetmajer Kazimierz —
— Ksiądz Piotr, opracowanie sceniczne Olgi Żeromskiej; Nr 123/124, rocznik 1950.

2. **Inscenizacje obrzędowe, świąteczne i o podkładzie ludowym:**

Bogusławska Anna —
— Wesele na Mazowszu (z nutami); Nr 94/95, rocznik 1948.

Cierniak Jędrzej —
— Zapusty z „podkoziołkiem"; Nr 100, rocznik 1948.

Czuchnowski Marian —
— Święcone czyli aksamitna wiązanka bazi; Nr 102, rocznik 1949.
— Anioł pasterzom mówił; Nr 110, rocznik 1949.
— Dożynki i pieśni dożynkowe (z nutami); Nr 81/82, rocznik 1947.

Jabłoński Adam —
— Jarmark, widowisko na Boże Narodzenie; Nr 133/134, rocznik 1951.

Piech S.
— Wiosna idzie; Nr 77/78, rocznik 1947.
— Sobótka i Wianki (z nutami); Nr 79/80, rocznik 1947.

Schiller Leon —
— Pastorałka (z nutami); Nr 87/88, rocznik

Turowiczówna J. —
— Stała się nam nowina; Nr 149/150, rocznik 1953.
1947.

Zawieyski Jerzy —
— Kołysanka Jezusowa (z nutami); Nr 133/134, rocznik 1951.

Żeromska Olga —
— Wybór poezji i muzyki religijnej; Nr 111/112, rocznik 1949.
— Wzór inscenizacji śpiewno-tanecznej: Choćbym ja jeździł (z nutami); Nr 132, rocznik 1951.
— Wiosna w Polsce (z nutami); Nr 77/78, rocznik 1947.

3. **Inscenizacje, widowiska i słuchowiska o motywach artystyczno-literackich i historycznych:**

Broncel Zdzisław —
— Matka i syn (o Stefanie Żeromskim); Nr 90, rocznik 1948.
— My wszyscy z niego (o Adamie Mickiewiczu); Nr 98/99, rocznik 1948.

Czuchnowski Marian —
— Wiosna ludów — wiosna narodów; Nr 89, rocznik 1948.
— Duch niesiony na skrzydłach wiatru (o rzeźbiarzu ludowym Janie Raku); Nr 96/97, rocznik 1948.
— Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami (o Juliuszu Słowackim); Nr 103, rocznik 1949.
— Pięć serc i jedna muzyka (o Fryderyku Szopenie); Nr 105/106, rocznik 1949.

Karpiński Ziemowit —
— Wspomnienie Warszawy; Nr 83/84, rocznik 1947.
— W 500-lecie Kazimierza Jagiellończyka; Nr 85, rocznik 1947.
— Olimpiada; Nr 91, rocznik 1948.

Nowakowski Tadeusz —
— Wspomnienie o Prusie; Nr 86, rocznik 1947.

4. **Utwory sceniczne dla młodzieży:**

Lisiewicz Teodozja —
— Pazur Niedźwiedzi; Nr 115, rocznik 1950.